

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok - Kielce - Lublin - Rzeszów

LUBELSKA
UMOC
LUBELIN

MIROŚLAW DERECKI

FILIPINKI i...POLITYKA

Na lubelskich ekranach — „The Beatles”, w związku z czym młodzież szkolna niekiedy ucieka z lekcji i „trawi czas” w kolejkach przed kasami kin. Pewnego dnia okazuje się jednak, że uczniowie poza „mocnym uderzeniem” interesują się również... polityką międzynarodową, wyborami, sprawami gospodarczymi kraju, że oprócz „Bonazy” oglądają Dziennik Telewizyjny. Dowodem — niedawne wojewódzkie finały (szóstej już!) ogólnopolskiej olimpiady wiedzy o Polsce i świecie współczesnym.

W wydaniu lubelskim finał wojewódzki odbył się w położonym niedaleko Lublina Lubartowie, niewielkim mieście powiatowym.

Organizowana od kilku lat przez Związek Młodzieży Socjalistycznej i

Związek Młodzieży Wiejskiej olimpiada nabiera z roku na rok rumieńców. Staje się imprezą masową, o czym świadczą choćby liczba uczestników. W 1964 r. brały w niej udział 23 tysiące młodzieży ze szkół ogólnokształcących i zasadniczych zawodowych (olimpiada przebiega w dwóch pionach) — w bieżącym aż 50 tysięcy! W sali lubartowskiego Powiatowego Domu Kul-

(Dokończenie na str. 7)

Czas kwitnącej wiśni

ZARAZ po Święcie Pracy rusza najważniejsza w roku ofensywa upowszechniania kultury zwana Dniami Oświaty, Książki i Prasy. Wielekroć podkreślano już symbolikę tkwiącą w połączeniu tych czynności z porą roku, w jakiej mają być przeprowadzone, ale związek ów narzuca się nieodparcie. Wiosna, okres wzrostu. Do kulturalnych ozimów z jesieni roku poprzedniego przybwa jary zasiew legoroczny. I nie bez znaczenia jest tu sam meteorologiczny sztafaż. O ile celnie trafia we wrażliwość odbiorcy artystyczny efekt estradowych występów, jeśli za sojuszniki mają gałązki rozkwitłej wiśni. Na ile wyżej znacząca można dzienna sprzedaż ze stoiska książek, jeżeli rzecznikiem transakcji jest samo słońce. Osady, miasteczka, wsie odświętnie przystrojone w konkursie czystości wychodzą na spotkanie Dniom. Corso wstążek i książek, karnawał wierszy i pieśni.

Niebagatelne znaczenie posiada sam rozmiar przedsięwzięcia. Imprezy ze względu na ilość nie mieszczą się w instytucjonalnych placówkach przeznaczonych do upowszechniania kultury. Za klasno byłoby w samych klubach, świetlicach, ośrodkach. Piosenka, książka, mikrofon idą „w Polskę”, by tam na zaproszonych estradach czynić nie to samo, co się robi przez cały rok, ale z większym, bo wiosennym rozmachem. I nie wytarza sama „czynna służba” etatowych pracowników kultury. Mobilizuje się pospolite ruszenie, odbywa się ochotniczy zaciąg. Każdy, kto ze słowem „kultura” łączy swoje osobiste zainteresowanie, znajduje dla siebie proporczyk w tym ogólnonarodowym pochodzie ku wzrostowi oświaty, upowszechnieniu czytelnictwa, rozbudzeniu artystycznych i estetycznych potrzeb.

(Dokończenie na str. 8)

ZYGMUNT MIKULSKI

1 Maja

Rozwija się w słońcu bukiet orkiestr dętych,
grają kolejarze, pocztowcy i wiatr.
Przez wieś i przez miasto i przez kontynenty
idzie marsz w szpalerze niestrudzonych lat.

Leci promień z wysoka i na drzewce flaga
spływa, a gdy spłynie — zamienia się w czerwien.
Ten marsz jest radością, a radość odwaga,
co ziemię rozhuści i w gwiazdy poderwie.

A jeszcze tulipan do chóru i wstążka
wpinają się w nutę. Krok uderza lewa.
Zielonym sygnałem w listkach i gałązkach
świeci jak dronowskasz rozświecone drzewo.

Lat już tyle. Z kilofem. Z ogniem hut te lata
I mocniej trud w dłoń, gdy grozi awaria.
Na nową orbitę starą bryłę świata
wprowadzi zwycięska klasa: proletariata.

Pozdrowienie gołębim — salutem pokoju
ślemy ludom i ludziom w każdy ziemski ką.
Słowa nasze to mir, pace, amitié i sojusz,
domem naszym jest morze, powietrze i ląd.

Flagę z ognia niech mocniej ostrzy wiatr rozpali,
co wysokie, niech wstanie o pieśń jeszcze wyższe.
Niech nut więcej zaśpiewa. I ptaków. I stali.
I słońce przyszłości narodzi się w iskrze.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

NA BARYKADY

ZACZEŁO się od wojny. Wojnę znalazłem już dobrze: roztawiałem nieraz swych żołnierzyków z tektury i przewracałem ich kulkami fasoli, wyrzucanymi z armatki. Można też było walczyć inaczej, co nawet wolałem, gdyż wynik zwycięstwa zależał wtedy od mojej zrecznosci: na pluszowej kanapie szeregowało się kolorowe plastikie guziczki dwóch nieprzyjacielskich armii; naciśnięte większym krążkiem podskakiwały jak pchełki i gdy sprawnie wycelowane nakryły choć częściowo „nieprzyjaciela”, uważało się, że już poległ.

Ale oto prawdziwa wojna, choć bardzo daleka, wkroczyła i do naszego cichego domu. Przemawiała z gazety rozkładanej wieczorem przez ojca, z zaniepokojonej twarzy matki, z niezrozumiałych dla mnie tajemniczych wyrazów: torpedowce, Port Artura, Cuszyna i Kuropatkin. Arturkiem nazywał się mój cielecny dziadek — czy to jego port? Kuropatkin śmieszył mnie bardzo, gdyż kojarzył się z kuropatwą, którą niedawno jadłem na obiad. Ojciec pokazał mi kiedyś na globusie Japonię i teren walki oraz punkt odpowiadający mniej więcej naszemu miastu. Bardzo to było daleko; widziałem przecież, że mały globus; to obrzymia ziemia, a walka toczy się o tysiące wiorst od nas. Czemu więc rodzice tak się tym przejmują?

Okazało się jednak, że wojna ma długie ręce, które sięgają nawet do naszego miasta. Wkrótce gromadnie odprowadziliśmy na stację doktora Golańskiego, który odjeżdżał, jak się to mówiło, na „daleki wschód”. Dziw-

nie wyrósł w mych oczach niepozorny kolega ojca w tym oficerskim szynelu: zimowe słońce lśniło w błyszczących guzikach i kapitańskich epoletach, a doktor rozpiął płaszcz i uśmiechnął się dobotliwie do szkła aparatu fotograficznego. Z rozrzwienieniem oglądałem dziś to zdjęcie: sześciolatek małe przemysłnie wysunął się naprzód i stoi z dumą tuż obok odjeżdżającego na front oficera. I to mam być ja, po raz pierwszy muśnięty w ten sposób odległą zawieruchą wojenną? Trudno mi dzisiaj w to uwierzyć — człowiekowi oparzonemu doświadczeniem dwóch strasznych i tak bezpośrednio bliskich wojen. A wokół doktora gromadka sztucznie uśmiechniętych przyjaciół i znajomych, bo przecież odjeżdżającego trzeba podnieść na duchu. Tylko mała jego żona wtuliła zapłakaną twarz w futro kolumniera. Jak to dobrze, że mój ojciec jest jedynakiem i że zamiast opatrywać rannych w dalekiej Azji może spokojnie przyjmować chorych w swoim gabinecie. Choć ładnie wyglądałby w takim mundurze.

A potem przyszła kolej na politykę. Gazety przynosiły wieści nie tylko z frontu, ale i o rozruchach w kraju. W naszym mieście było wprawdzie spokojnie, ale rodzice często szepotali coś między sobą. Kiedyś padło słowo „Okrzeja”. — „To bohater” — mówił ojciec, a matka miała łzy w oczach. „Czy zginął na wojnie?” — „Tak, na wojnie” — powiedział ojciec — „ale nie tam, tylko u nas”. — „To i u nas jest wojna?” — spytałem zdumiony: „Japończycy aż tutaj się dostali?” —

„Nie, nasi robotnicy walczą z innym wrogiem” — i urwał rozmowę.

Ale odtąd nie znalazłem spokoju: wciąż mnie dręczyła myśl: z jakim to wrogiem prowadzą wojnę robotnicy? Robotników spotykałem nieraz na ulicy, gdy wracali po pracy. Usmarowani, zasmoleni na twarzy, w nędznym ubraniu zamiast błyszczącego munduru, bez zwisającej szabli i rewolweru przy pasie, nie wydawali się wcale ludźmi, którzy mogą walczyć. Jakżeż niepokojnie wyglądali wobec wystrójonego grubasa, policjanta w szynelu i wysokiej czapce, który stał na rogu ulicy i odprowadzał ich podejrzliwym spojrzeniem. Cóż to za żołnierze? Z kim i czym mogą walczyć?

Zaglądałem ukradkiem do zostawionej na stole gazety, — może w niej znajdę odpowiedź? Ale oczom przywykłym do dużych liter „Mojego Piśmka” trudno było rozoznać się w gąszczu drobno wydrukowanych, niezrozumiałych wyrazów. Kiedyś wyłowilem jednak zdanie dające mi wiele do myślenia: „wojsko rozpedziło robotniczą manifestację”. Cóż to jest manifestacja? Ale widocznie to znaczy, że wojsko rozpedziło robotników. A w innym miejscu: „rzucił bombę na policjantów”. I nagle oświeceni. Robotnicy walczą z policją rosyjską, walczą z wojskiem, nasi polscy robotnicy — to jakby nowe powstanie. Kiedyś później powiedziałem matce o swoim domyśle, odparła mi, że to coś w tym rodzaju, że to się nazywa rewolucją, ale że jestem za mały, aby się zaj-

(Dokończenie na str. 8)

Kierunki naszej polityki zagranicznej

PODCZAS niedawnej podróży na Zachód — w końcu 1964 roku byłem w Ameryce, Anglii i Francji — nieraz wypadało mi rozmawiać z politykami i dziennikarzami burżuazyjnymi na temat ich stosunku do Polski. Często stokróż w toku takich rozmów powracał problem granicy na Odrze i Nysie.

Stosunkowo rzadkie były wśród moich rozmówców wypadki zoologicznego antykomunizmu i połączonego z tym postulatu „cofniecia” Polski do przedwojennych granic (spotykałem się raczej z ludźmi zajmującymi się zawodowo polityką i zdającymi sobie w obecnym świecie sprawę, że ani komunizm nie przekreśli, ani Polski nie cofną). Rzadkie były też wypadki całkowitej ignorancji (choć gubernator jednego z największych stanów amerykańskich spytał niedawno polskiego dziennikarza, czy Polacy mają własny język...).

Rzadziej odniosłem wrażenie, że politycy na Zachodzie, i to nawet politycy prawicowi, pogodzili się z granicą zachodnią Polski. Bądź przyjęli do wiadomości granicę na Odrze i Nysie jako fakt dokonany, który mógłby być zmieniony tylko w wyniku wojny (a wojny nie chcą). Bądź też — a tacy rozmówcy byli dla mnie najciekawszy — wręcz wypowiadają się za uznaniem granicy, by w ten sposób „odciągnąć” Polskę od Związku Radzieckiego.

Ich tok rozumowania jest w skrócie taki. Obecnie tylko Związek Radziecki (oraz de Gaulle w świadectwie nieformalnym z 1959 roku) uznaje granicę na Odrze i Nysie. To „pcha Polskę w ramiona Związku Radzieckiego”. Gdyby jednak Ameryka i Anglia uznały granicę Polski i gdyby skłoniły do tego Niemcy zachodnie, to by „rozluźniło więzy” między Polską a Związkiem Radzieckim.

Nie będę przytaczał moich odpowiedzi na tego rodzaju wywody. Wolę zacytować bardziej miarodajną wypowiedź na ten temat Władysława Gomułki, który w marcu br. na III Plenum KC PZPR powiedział:

„Wcześniej lub później przyjdzie na pewno czas, kiedy państwa zachodnie oficjalnie zaakceptują ostateczny charakter istniejącej polsko-niemieckiej granicy państwowej. Naród polski okazałby pełen szacunek wobec takiego aktu. Nie miałoby to jednak żadnego wpływu na naszą politykę zagraniczną, na nasz stosunek do Związku Radzieckiego, do jedności państw socjalistycznych. W dzisiejszym świecie podzielonym na dwa systemy społeczne, bezpieczeństwo i nienaruszalność naszych granic zachodnich i północnych, nawet i po uznaniu ich ostatecznego charakteru przez państwa zachodnie, włącznie z Niemiecką Republiką Federalną, nadal operatywny jest, tak jak i dzisiaj, na niewzruszonym sojuszu ze Związkiem Radzieckim i innymi państwami socjalistycznymi”.

Nienaruszalność granicy

Gdy 8 kwietnia doszło w Warszawie do podpisania nowego polsko-radzieckiego Układu Przyjaźni, oczywiste było, że będzie tam mowa również o zachodniej granicy Polski (układ poprzedni, z 1945 roku, zawarty był jeszcze przed Konferencją Poczdamską i wytyczeniem granicy na Odrze i Nysie). Wysokie Umawiające się Strony stwierdziły, że „jednym z podstawowych czynników bezpieczeństwa europejskiego jest nienaruszalność granicy państwowej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na Odrze i Nysie Łużyckiej”.

Ledwie tekst Układu znalazł się w serwisach agencji telegraficznych, a już rzecznik rządu w Bonn uznał za konieczne ustosunkować się do tych słów. Jego zdaniem gwarancje bezpieczeństwa, udzielone Polsce przez Związek Radziecki, są „całkowicie zbyteczne”, gdyż przecież — jak powiedział — Niemcy zachodnie nie mają zamiaru zaatakować Polski i w drodze wojennej przywracać przedwojennych granic (!!!).

Jednakże nie wszyscy w Niemczech zachodnich zgodzili się z opinią rzecznika o „zbyteczności” radzieckich gwarancji. Tak więc np. dziennik „Handelsblatt” w Düsseldorfie stwierdził przy tej sposobności: „W obliczu radzieckich gwarancji zawartych w Układzie Warszawskim jakakolwiek rezygnacja granic jest odtąd wykluczona. Do tego wypadnie się z kolei i nam, Niemcom, przyzwyczać. Wiemy ponadto, że nasi zachodni sojusznicy raczej chętnym okiem spoglądają na podpis złożony w Warszawie”.

Dodajmy tutaj, że stosunkowo niedawno przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU (sprawującej władzę chrześcijańskiej demokracji) Rainer Barzel wywołał wręcz: „Wiele milionów Europejczyków w Warszawie i Pradze, w Budapeszcie, Bukareszcie i Sofii ma nadzieję na odzyskanie wolności głównie dlatego, że my, Niemcy, nie godzimy się z faktami stworzonymi przez komunistów przeciwko nam”.

W związku z tego rodzaju roleniami godzi się raz jeszcze zacytować słowa Władysława Gomułki z wspomnianego przemówienia na Plenum: „Oficjalne uznanie przez Zachód naszych granic zachodnich byłoby aktem na rzecz pokoju w Europie i w tym sensie również na rzecz Polski, uderzyłby tylko w zachodnoniemieckie i sprzymierzone z nimi agresywne siły budujące swoją politykę na koncepcji wojennego konfliktu w Europie i Świecie”.

Naturalne i oczywiste

Pod wpływem reminiscencji z podróży na Zachód zatrzymałem się nieco dłużej nad sprawą naszej granicy zachodniej. Lecz sprawa ta bynajmniej nie wyczerpuje treści polsko-ra-

dzieckiego Układu Przyjaźni. Układ zawiera szereg innych doniosłych postanowień, niejako kodyfikujących w świetle doświadczeń ubiegłych 20 lat zasady i wytyczne współpracy Polski i Związku Radzieckiego w dziedzinie politycznej, wojskowej, gospodarczej i kulturalnej.

Czytelnicy „Kamień”, mieszkający Lublina czy Białegostoku, podobnie jak mieszkańcy Warszawy czy Krakowa, sami przytoczyć mogą przykłady wymiany gospodarczej i kulturalnej, które są na co dzień dowodem coraz lepszej współpracy z naszym przyjaźniem ze Wschodu i sami mogą stwierdzić, jak w ciągu ubiegłych dwudziestu lat współpraca ta zmieniła swe oblicze, pokonując początkowe przeszkody i wypełniając się nową socjalistyczną treścią.

Dla nowego pokolenia Polski Ludowej współpraca i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim są czymś naturalnym i oczywistym. Nim się obejrzymy — my, ludzie starsi — przyjdzie czas, kiedy młodym trzeba będzie tłumaczyć, jak to było możliwe, by Polska przedwojenna za jeden z kanonów swej polityki zagranicznej uważała wrogość wobec Związku Radzieckiego.

Agresja amerykańska w Wietnamie

Choć nie wiąże się to bezpośrednio z treścią Układu Przyjaźni, podczas rozmów polsko-radzieckich w Warszawie i we Wrocławiu, i podczas wystąpienia naszych gości i polskich mężów stanu, wiele miejsca z konieczności zajęła brutalna agresja amerykańska w Wietnamie.

„Ci, którzy rozpoczęli agresję przeciwko miłującemu pokój narodowi wietnamskiemu — mówił Leonid Breżniew — nie osiągną niczego poza hańbą i porażkami. I tym szybciej położony zostanie kres avaranckim kolonialnym, im bardziej aszaryt wysypią się przeciw ich zbrodnicy poczynań wszystkim siły pokoju, wolności i postępu na ziemi”.

Przywódcy radzieccy i polscy wymieniły również poglądy na temat najważniejszych problemów ruchu komunistycznego. Jak stwierdził komunikat, „podkreślono pilną konieczność umocnienia jedności całej wspólnoty krajów socjalistycznych i wszystkich partii komunistycznych i robotniczych”.

„Jedność ta — powiedział Władysław Gomułka — staje się najwyższym nakazem w obliczu sytuacji, jaka zaistniała obecnie w Indochinach”.

Czytelnicy, którzy pamiętają tytuł artykułu — „Kierunki naszej polityki zagranicznej” — mogą zgłosić pretensję, że powyższe słowa były tylko o jednym kierunku: w sensie geograficznym — na Wschód, w sensie politycznym — na socjalizmowi. Będą mieli rację tylko pozornie, gdyż ten jeden — podstawowy — kierunkowca naszej polityki zagranicznej wytycza jej całokształt. Wynikają z niego zarówno zasady naszych stosunków z państwami kapitalistycznymi (które ująć można w słowie współistnienie), jak i wytyczne naszych stosunków z krajami tzw. Trzeciego Świata (tu z kolei wystarczy słowo: sympatia i pomoc).

Jedynym wyjątkiem — potwierdzającym regułę — są nasze stosunki, czy też raczej brak stosunków, z Niemcami zachodnimi, ale o tym już była mowa powyżej.

„Moje miasto”

i recenzja teatralna

KONKURS dla młodzieży szkolnej i akademickiej

REDAKCJA „Kamień” i Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie organizują dwa konkursy:

PIERWSZY: dla młodzieży szkolnej czterech województw — białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego;

DRUGI: dla studentów lubelskich uczelni.

Pierwszy konkurs — dla młodzieży szkolnej — polega na napisaniu pracy pt. „MOJE MIASTO”. Forma dowolna. Chodzi o reportaż, artykuł lub wiersz, w którym znalazłby wyraz przemiany, jakie się dokonały w ostatnich latach w danym mieście czy miasteczku. Rozmiar pracy: do 5 stron maszynopisu (30 wierszy na stronie).

Drugi konkurs — dla studentów — obejmuje recenzję teatralną ze sztuki „Kłóś nowy” Domańskiego, wystawionej przez Teatr im. J. Osterwy. Rozmiar recenzji — do 4 stron maszynopisu.

Prace należy nadsyłać w 3 egzemplarzach pod adresem redakcji „Kamień” (Lublin, ul. Graniczna 7) z dopiskiem na kopercie „Praca konkursowa”, do dnia 10 czerwca 1965 roku.

Zwycięzcy konkursu otrzymują nagrody rzeczowe w postaci radioodbiorników, aparatów fotograficznych i zegarków (szczegółowy wykaz nagród podamy w jednym z następnych numerów).

Najlepsze prace będą ponadto publikowane w „Kamieniu” i honorowane według normalnych stawek redakcyjnych.

W skład sądu konkursowego wchodzi: kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie ZBIGNIEW FRAC, prezes lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich w Lublinie ZYGMUNT MIKULSKI i redaktor naczelny „Kamień” MAREK ADAM JAWORSKI.

Przegląd prasy

Dwudziestą rocznicę podpisania Układu o Przyjaźni i Pomocy Wzajemnej między Polską a ZSRR uczcił „SZTANDAR LUDU” w sposób nietypowy a interesujący publikując materiały nadesłane przez redakcje bratnich pism — „ZARJA” w Brześciu i „RADJANSKA WOLYŃ” w Łucku. Z pisma tymi redakcja lubelskiej gazety utrzymuje zresztą od lat stałe, przyjacielskie kontakty. W materiałach nadesłanych przez gazetę brzeską znajduje się artykuł W. MIKULICZA W jednym szeregu, w którym autor podkreśla wagę Układu dla rozwoju obydwa krajów, a szczegółowo omawia dorobek i wysiłek narodu białoruskiego, jak też wskazuje na pomysły perspektywy dalszego jego rozwoju.

Pozostałe materiały stanowią wypowiedzi członków delegacji z Brześcia, która gościła na Ziemi Lubelskiej. Wypowiedzi te są pełne uznania dla osiągnięć Lubelszczyzny.

Materiały opracowane przez dziennik „RADJANSKA WOLYŃ” dostarczają wielu informacji o osiągnięciach i dorobku obwodów wolińskiego. Ciekawe informacje zawiera także wypowiedź A. WERBIWSKIEGO na temat pracy Ukraińskiego Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Prowadzi ono szeroką działalność poświadczenia upowszechnienia kultury polskiej i naszych osiągnięć wśród przyjaciół do Bugiem.

Towarzystwo troszczy się także o coraz szerszą wymianę delegacji, zespołów artystycznych, rozmaitych spotkań. Program na ten rok jest bardzo bogaty. Słuszne jest stwierdzenie autora, że „Te sąsiadskie kontakty służą wzajemnemu poznaniu i zrozumieniu, sprzyjają wymianie doświadczeń, przyspieszają ekonomiczną i kulturalną rozwój naszych regionów, wzmacniają więzi naszych narodów...”

Ale wróćmy do naszych, codziennych spraw, którymi żyjemy. Przykład: sytuacja małych miasteczek. Dawniej zaniedbane, zde-

wastowane, skazane — zdawałoby się — na nieuchronną zagładę. Budowa wielkich ośrodków przekreślała szanse małych. Pisze o tym Z. PIKULSKI w „KURIERZE LUBELSKIM” w artykule Nowa wiosna w miasteczku. Początkiem zapowiadającym to „nowe” była uchwała WRN o aktywizacji miasteczek i osad. Pamiętam przykłady Annapola i Stoczka. Uporządkowano je, przywrócono odpowiedni wygląd. Ale to nie wszystko. Nadchodzi nowa faza aktywizacji małych miast, wspartej odpowiednimi inwestycjami. Cel tego?

„Chodzi o jednoczesne ożywienie gospodarcze małych miasteczek i o modernizację rolnictwa. Rzecz polega na tym, żeby w bardzo wielu osadach, tzw. ośrodkach fonadgromadzkich, wybudować mnóstwo niezbędnych dla obsługi nowoczesnego rolnictwa zakładów, takich jak filie POM, stacje ochrony roślin, magazyny i mieszalnie pasz treściwych, magazyny zbożowe, natowozowe, punkty skupu, pawilony handlowe, agronomówki...”

Upieczę się więc dwie pieczenie: mieszkańcy małych osad nie muszą szukać pracy po świecie, ożywi się życie kulturalne, a okoliczne wsie będą mogły unowocześniać swoje gospodarstwa rolne. Małe miasteczka porwają do swych poprzednich funkcji: będą obsługiwać rolnictwo.

To ożywienie małych miast, nowe ich perspektywy nie są tylko udziałem Lubelszczyzny. Wielokrotnie referowałem się tu głosy o ciekawych inicjatywach społecznych Ziemi Kieleckiej. W „Magazynie Niedzielnym” kieleckiego „SŁOWA LUDU”. W. BARANSKI pisze o Jedrzejowie. A właściwie o pracy Komisji Kultury i Oświaty, w której odbiła się cała problematyka kulturalna powiatu. Powiat jedrzejowski ma nie tylko osiągnięcia, zamierzenia są jeszcze bogatsze. Marzą tu nawet o uruchomieniu w Jedrzejowie wyższej szkoły pedagogicznej. Nierealne? W jedrzejowskim „u ubiegłej kadencji zbudowano 17 szkół, już wiadomo, że będzie się budowało w powiecie rocznie 3-4 szkoły.

Kto powie, że nie wolno w małym miasteczku marzyć? Ja nie!”

I to jest najbardziej optymistyczne.

T. K.

W dniu partyjnej przedwyborczej konferencji okręgowej Dom Kultury w Turoszówce koło Krosna nie rzuca się bynajmniej w oczy wyraźna dekoracja. Obszerną salę, którą wypełnia liczna rzesza delegatów z Podkarpacia, z odległych bieszczadzskich powiatów, przyozdobiono zwyciężym hasłem i rysunkiem, wykonanym rękami przez domorosłego artystę: przedcielem rozpostarty samolot. Ma to być zapewne skrótna ilustracja do dzieł Podkarpacia: ongiś, tu właśnie, Ignacy Łukasiewicz założył podwaliny polskiego przemysłu naftowego. Jak okiem sięgnąć, wokół Domu Kultury w Turoszówce wznoszą się naftowe szczyty, a ostatnie 20-lecie przyniosło rozwój nowych dziedzin przemysłu. Dziś pod nie-

bem wielu krajów szybują sportowe samoloty made in Krosno nad Wisłokiem...

Na salę wiele górniczych i leśniczowskich mundurów, pracownicy resortu leśnictwa z bieszczadzskich kniei. Różny jest wiek zebranych osób.

Dyrektor nowoczesnych Hut Szkła Technicznego — inwestycji Krosna z lat ostatnich — reprezentuje młode pokolenie. Jest on tu również, jak zwykle się to określać, „człowiekiem nowym”, gdyż jeszcze niedawno pracował na odpowiedzialnym stanowisku w jednej z rzeszowskich fabryk. Jego wystąpienie jest jednak głosem gospodarza zaangażowanego w sprawy tego terenu. W ferworze dyskusji, uzbrojony w ekonomiczne argumenty, w pewnym momencie wykracza poza zasięg zagadnień „swoich” hut i wdaje się w ocenę perspektyw podkarpackiej nafty. Przyszłość Krosna — stwierdza autorytatywnie — leży przede wszystkim w rozwoju przemysłu szklarskiego.

Inny pogląd reprezentuje senior rzeszowskich naukowców, docent inż. Górka z Instytutu Naftowego w Krośnie. Ripostuje spokojnie, odmierzając każde słowo. Odnaznaczony wysokimi odznaczeniami państwowymi, specjalista, z zapalem opowiada o nowo odwierconych szybach nieopodal Krosna, gdzie zaszyta w górach wśród lasu, jako muzealny obiekt, przekazano potomności pierwszą w Polsce, ponad 100 lat liczącą, kopalnię Łukasiewicza...

Leśnicy, załogi z państwowych gospodarstw rolnych, spółdzielcy z zespołowych gospodarstw rozsiadani w górach, osiedleńcy w liczbie kilkuset, zamieszkałi w ciągu ostatnich lat na terenie Bieszczad, liczna grupa nauczycieli — przekazują poprzez swych delegatów konferencji węzłowe problemy tego regionu.

Raz po raz, w toku swobodnej, nieskrępowanej dyskusji, mówcom zadaje pytania wielki przyjaciel Rzeszowszczyzny, poseł Podkarpacia w okresie dwu minionych kadencji, członek Biura Politycznego KC, wicepremier Piotr Jaroszewicz. Próby lakierowania, zbyt łatwego, czy uproszczonego przedstawienia rzeczywistego stanu, spotykają się z jego sirony z laktownym, lecz stanowczym i bardzo precyzyjnym sprostowaniem. W toku swych rozlicz-

nych zajęć wicepremier zawsze znajduje czas — a także i serce — dla reprezentowanego okręgu. Bywa tu często i regularnie, wielu delegatów zna z imienia i nazwiska, wie, jaką galaż gospodarki reprezentują.

„Nowy Mielec”

Równie robocza, bez szumnych deklaracji, bez zapewnień, dla których trudno byłoby w przyszłości znaleźć pokrycie, jest konferencja okręgu wyborczego Tarnobrzeg, obradująca w Mielcu, w sali Zakładowego Domu Kultury na nowym osiedlu zwanym „Nowym Mielcem”. Delegaci reprezentują najbardziej zindustrializowany okręg Rzeszowszczyzny, wytwarzający 48 proc. globalnej produkcji przemysłowej całego województwa. Tarnobrzegskie zagłębie siarki, przemysł powiatowej Dębicy, powiatowego Mielca zatrudniały w okresie minionej kadencji 30 proc. całej ludności Rzeszowszczyzny, pracującej poza rolnictwem.

Widzę wśród delegatów towarzyszy związanyc z swymi zakładami od ich zarania, troskliwych gospodarzy, jak np. kandydat na posła do Sejmu, mistrz produkcji Józef Lastowski z Huty Stalowa Wola, który jest żywą kroniką stalowowlanskich zakładów. Dał huście swój rzetelny trud przez całe ćwierćwiecze.

Problemy wielkiej migracji ludzi i siły roboczej ze wsi do fabryk, złożone potrzeby nowo powstających ośrodków miejskich, znajdujący wszechstronny, pełen partyjnej troski wyraz w wystąpieniach delegatów.

Zakłady Metalowe imienia Tomasza Dąbala w Nowej Dębce — najmłodszym miście na mapie Rzeszowszczyzny — reprezentuje młody, energiczny dyrektor, Stanisław Nowakowski. Mówi nie tylko o wielkiej czy nawet przełomowej dla zakładów sprawie koncentracji budowy silników motocyklowych uzyskanej przez „Dębę” w wyniku przedzjazdowej dyskusji. Za nie mniej ważne, niż produkcyjne uważa sprawy mieszkaniowe, zagadnienia oświaty tego nowego ośrodka urbanistycznego, gdzie w ostatnich latach uruchomiono zasadniczą szkołę zawodową (w Zaočnym Technikum Mechaniczno-Elektrycznym kształcą się 140 osób) i gdzie, w roku ubiegłym zorganizowano stacjonarne dzienne Technikum Mechaniki — kuźnię własnych kadr na miejscu.

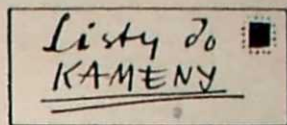
Sekretarz rady zakładowej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu, Marian Wołkici i sekretarz mieleckiego Komitetu Powiatowej Partii, Zdzisław Cichocki, wycieczne III Plenum KC, uchwały IV Zjazdu partii w sposób logicznie naturalny wiążą z najbardziej żywotnymi, powszednimi sprawami tej części województwa. Z zaufaniem, w sposób raczej kameralny, bez retorycznych ozdobińców delegaci mówią nie tylko o sukcesach i planach, ale też o zwyczajnych troskach i nadziejach powszednich dni. Są one do kładnie znane dotychczasowemu posłowi i obecnemu kandydatowi do Sejmu z tego okręgu członkowi KC, I sekretarzowi KW w Rzeszowie, Władysławowi Kruczkowi.

„I w Krośnie i w Mielcu podkreśla się niewątpliwie zasługi posłów Ziemi Rzeszowskiej w minionej kadencji: przyczynili się oni do dalszego zagospodarowania Bieszczad, dzięki ich staraniom uruchomiona została przed terminem elektryczna magistrala kolejowa Kraków — Medyka, po wielu dziesiątkach lat oraz interwencjach sejmowych — od parlamentu austriackiego poczynając — oni właśnie spowodowali ukończenie linii PKP Rzeszów — Kolbuszowa, to ich wysiłek uwielczony został zorganizowaniem wyższych uczelni w Rzeszowie itd. itd.

Ładunek faktów

Ocena realizacji programów wyborczych, aczkolwiek sucha, przemawia argumentami liczb, ładunkiem faktów, które łatwo sprawdzić na przeobrażonym krajobrazie Rzeszowszczyzny. W podsumowaniach tych na czoło wysunęto problemy gospodarcze, rolne, chociaż sporo miejsc poświęcono też rozwojowi oświaty, kultury, zdrowia. Nie ma miejsca w tych zwiezłych bilansach na szczegółową analizę przemian, jakie w tym czasie dokonały się w świadomości ludzi. To dziedzina literatury, socjologii, czy dziennikarskiej publicystyki.

Ale przyszłością są przedwyborczym rozmowom, ich treści, ich tonacji, odnosi nieodparte wrażenie, że w tym czasie, tak przecież krótkim z punktu widzenia historii, w województwie rzeszowskim nie tylko rosły nowe fabryki, zmienił się wygląd miast i wsi, ale że dokonały się tu przemiany, może głębsze i jeszcze ważniejsze, chociaż ekonomicznie raczej niewymierne.



„W obronie parku”

W n-rze 4-tym „Kamery” z dnia 28. II. 65 r. w dziale „Listy do Kamery” ukazała się notatka pt. „W obronie parku”, mówiąca o „wyciężeniu drogi przez puławski park”. Treść notatki sugeruje, że grozi dewastacja parku i pozhawienie Puław wielkiej oazy zieleni.

W związku z tym Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków jest zobowiązany do wyjaśnienia sprawy, prosząc jednocześnie o opublikowanie tego wyjaśnienia.

Sprawa dotyczy przebudowy i modernizacji istniejącej od dawna w Puławach ulicy Głębokiej. Ulica ta prowadzi po ważnych ruch kołowy z terenów miasta na szlak do „Kazimierza nad Wisłą” i użytkowana jest na granicy parku zabytkowego, odcinając zresztą jego fragment z zabytkową oranżerią. Ulica Głęboka w obecnej formie i przekroju nie odpowiada potrzebom ruchu trasy turystycznej oraz lokalnej. Całe Puławę modernizują się z twagą na swój wielki rozwój, związany z uprzemysłowieniem.

W związku z tym konieczne jest uporządkowanie sieci dróg i ulic miejskich a więc i ulicy Głębokiej. Problem modernizacji ulicy Głębokiej był wielokrotnie i szeroko omawiany przez Komisję Konserwatorską Z.M.I.O.Z. z udziałem specjalistów z zakresu ochrony zabytków i drogownictwa. W rezultacie podjęto decyzję wykonania koniecznej korekty przebiegu ulicy Głębokiej z minimalnym naruszeniem zespołu zabytkowego parku. Osiągnięty kompromis, wynikający z konieczności pogodzenia potrzeb nowoczesnego życia miejskiego i turystyki z zasadami ochrony zabytków nie zagraża ani całości parku ani też pozostał Puław wielkiej oazy zieleni. Konserwatorzy zabytków zawsze z wielką troską odnoszą się do spraw ewent. naruszenia stanu istniejącego zabytków, należy jednak stwierdzić, że życie wymaga pewnych kompromisów. Zdaniem Z.M.I.O.Z. uporządkowanie i unowocześnienie ulicy Głębokiej przy wzrastającym ruchu turystycznym na tym szlaku będzie korzystne dla krajo- brazu Puław.

Mgr Mieczysław Ptaśnik
dyrektor Zarządu Muzeów
i Ochrony Zabytków
Min. Kultury i Sztuki

„Romantycyzi realizaci”

Przeczytałem interesujący artykuł o Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w szóstym numerze „Kamery” z br. Ponieważ od roku 1939 nie jestem we władzach Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Zoliborzu (byłem w tych władzach, a nawet w piórowym Zarządzie Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej już w roku 1931), preto sądzę, że właśnie do mnie należy poczynienie pewnej uwagi w związku z tym artykułem.

Otóż redaktor Karaś pisze dosłownie „twórcy Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej byli ludźmi ryzyka”. Otóż chyba w tak gruntownie opracowanym artykule należało podkreślić, że ryzyko (co przynajmniej stale kierownictwo Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej) było znacznie pomniejszone dzięki wykorzystaniu przez Lubelską Spółdzielnię Mieszkaniową wieloletnich doświadczeń Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (tzw. Szklanych Domów). Z doświadczeń tej spółdzielni Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa korzystała, co zresztą było w pełni uzasadnione — całą garścią.

Sądzę, że obiektywny stosunek i nasświetlenie doświadczeń Społecznego Budownictwa w Polsce wymagałoby uzupełnienia, jak wyżej.

Stanisław Szwalbe
przewodniczący
Zarządu Głównego
T-wa im. Marii Konopnickiej
w Warszawie

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Przygotowanie

już od rana pracowałem; ty staniesz tu powiedziałem słońcu i oświecił się jej twarz na tle [spekanych belek szalasu

lękę położymy całkiem blisko by pod stopami miała trawę [pełną kaczęceńców

dąb lawy powiedziałem [musi się nagrzać słońcem tak jakby sam był łagodnym [źródłem ciepła

niebo rozciągniemy na bukach wygładzimy zmarszczki [suchą dłońią

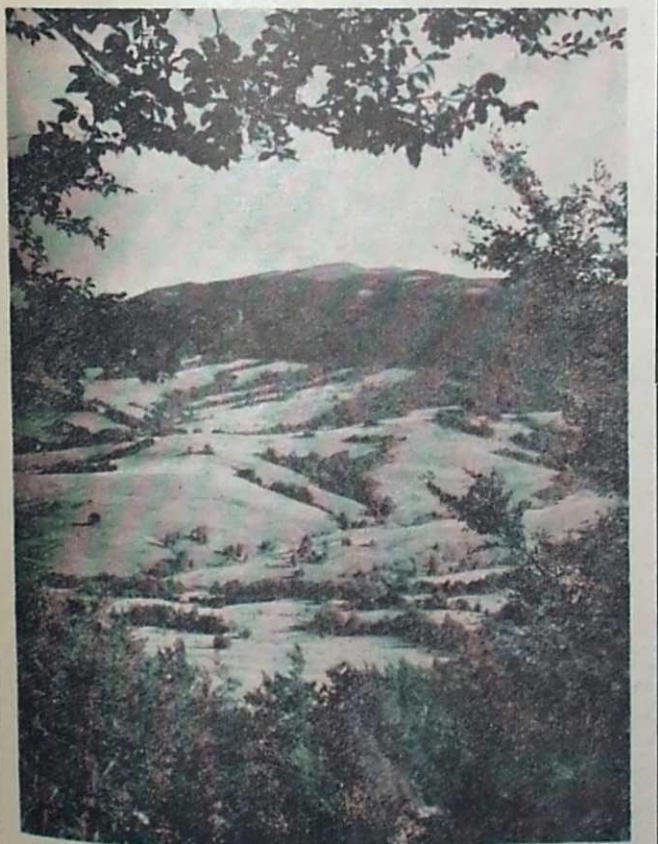
nie brzoź podmalujemy kilkoma pociągnięciami

na dany znak strumień [ruszy w drogę to będzie akompaniament a żółty spiew wilgi błysnie [w liściach jak szpada

tak wszyskio gotowe

Kraków

W Bieszczadach



Fot. Zdzisław Postępski

KŁĘSKA OŁOWIANYCH ŻOŁNIERZY

ADAM J. BIEN

SZLI śpiewając jakąś pieśń. Nie przypominam sobie, niestety, słów tej pieśni, bo to było dawno, wiele lat minęło od tamtych czasów — słowa zatary się w pamięci, zagubili... Obecnie znam inne słowa innych pieśni, ale wiem na pewno, że wówczas, przed wieloma laty, to był marsz, mocny, rytmiczny marsz, coś w tym stylu: tarara-bum-tara...

Żołnierze szli drogą i tak śpiewali. Cały oddział śpiewał: maszerował przez miasta, pola i lasy, i śpiewał. A najgłośniej ulan, który jechał na przedzie, który jechał na białym koniu, bo to był ich wódz.

Dziadek przyglądał mi się w milczeniu. Stał za moimi plecami, patrzył, nagle zapytał:

— Gdzie oni idą?
— Na wojnę, proszę dziadka.
Dziadek pokławił głową, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się widocznie, gdyż machnął z rezygnacją ręką, nie odezwał się ani słowem, milczał wciąż, kiwając głową, wreszcie poszedł.

Bardzo mnie to ucieszyło. I moje wojsko także było zadowolone. Od razu poweselało i zaczęło śpiewać głośniej. Mogło sobie teraz na to pozwolić, mogło krzyczeć i strzelać nikomu już nie przeszkadzając, bo zostałem sam, dziadek wyszedł z pokoju, słyszałem, jak mówi za drzwiami: „Czy porąbać to krzeselko?” „Po co?” — zapytał.

— Porąbać! — wrzasnąłem. — Jasne, że porąbać, bo zimno jak cholera!

— Nie kluj i nie używaj brzydkich słów! — zdenerwował się dziadek, potem zaś powiedział nieco ciszej: — To ja jednak porąbię, bo zimno rzeczywiście, trzeba trochę napalić, żeby ten smarkacz się nie przeziebił...

Tarara-bum-tara, śpiewało wojsko, śpiewało coraz głośniej, maszerując szybkim krokiem, gdyż buty miało marne i marzło w nogi. Za oknem była zima. Gruba warstwa śniegu okrywała drzewa i dachy i okienne parapety. Wróble tłukły się do szyb, pułki dębami; pragnęły, żeby otworzyć okna, żeby je wpuścić do środka. Mróz trzymał mocno i wróble umierały. Pod oknami leżało pełno takich ptasich trupów. Chciałem im zrobić pogrzeb, ale zbyt wielkie zimno panowało na dworze, nie można było wyjść z domu, gdyż buty miałem letnie — dziurkowane na szpicach.

Siedziałem więc w domu czekając na lato. Aby się nie nudzić, patrzyłem na żołnierzy, którzy szli na wojnę. Śpiewałem razem z nimi marszową pieśń. Biały ulan jechał na przedzie, wyciągnął szablę i machał nią nad głową, potem coś krzyknął, potem wydał rozkaz, żołnierze ryknęli „huraaaaa” i pognał do ataku. Była zima. Dziadek w sąsiednim pokoju rąbał krzesło halasując jak bombowiec.

Biały ulan mknął jak wiatr: niszczył wszystko, co wyrosło mu na drodze. Za nim pędzili jego żołnierze. Ktoś jęknął, bo trafiła go kula, ktoś umierał, ale inni żyli i chcieli żyć, zabijali wrogów, zwyciężali, monotonnie waliły piekielne armaty: bach, bach! Słyszycie?... Ich głos przejmujące człowieka lekciem. Bach! bach! Co to?... Nic, drobniak, nie ma się czym przejmować, nie ma się czego bać. To dziadek rąba krzesło. Przeszał. Już skończył. Wchodził do pokoju, uśmiecha się i pyta:

— Chyba zmarłeś, co?...
— Troszczyć.
— Bardzo?
— Nie... Tylko w nogi.
— Poskacz sobie, poskacz, żebyś nie odmroził!
— A jak się odmrozi, to co?...
— To bieleją i trzeba uciąć.
— Nie chcę! — wrzasnąłem i zacząłem skakać!

Tarara-bum-tara, śpiewa wojsko. Maszeruje wciąż naprzód pokonując przeszkody. Biały ulan skacze na koniu, przeskokował plot: jeden i drugi, i wali szablą, wymachuje nad głową srebrzystą klingą, zabija. Ktoś przyczał się za rogami domu, obserwuje ulana. Ale ulan ma orli wzrok, zobaczył tamtego, zanim padł strzał. Ostro ciał szablą. Tamten nawet nie pisał, fiknął koziołka i umarł. „Niech żyje ulan — krzyknęło wojsko — niech żyje nasz wódz!”

Dziadek odwrócił głowę.
— Przeszła się drzeć! Lepiej byś pomógł. Zapalki trzeba przynieść i popiół wyrzucić.

Wojsko śpiewa w dalszym ciągu i ani myśli zamilknąć.
— Ciszej, do licha! Co jest? Przecież mówiłem...

— Harmider jest wielki, bo wojna, proszę dziadka.
— Niech diabli wezmą wojnę! Wynieś ten popiół!

— Jak się skończy wojna, to wyniosę... Jak się skończy wojna, proszę dziadka, to wyrzucę na strych ołowianych żołnierzy i będę bawił się w murzara, kupię sobie kielnie. Teraz jednak jest wojna.

Skrzypnęły drzwi. Twarz ciotka zagłąda do pokoju. Ciotka zatrzymuje się w progu, patrzy, mruży szybko powiekami. Nic nie rozumie, słowo daje... Ona taka już jest, że nigdy nic nie rozumie. I wcale się teraz nie dźwizie, że znowu mnie pyta:

— Co się stało? Dlaczego tak krzyczyś?
Mówię jej, że wojna.
— Co takiego?
— Bombardowanie, alarmy, łapanka.
— Boże mój, co ty pleciesz?
— Nic.
— Jak to?
— Po prostu wojna. Ale już niedługo, proszę cioci. Biały ulan jest dzielny i na pewno zwycięży.

Dziadek odwrócił głowę, uśmiechnął się do mnie i zaśpiewał: Ułani, ulani, malowane dzieci...

— Boże mój — powiedziała ciotka — że dziecko się bawi, to mnie wcale nie

głębi pieca coraz więcej złotego blasku. Ten blask nie mieści się już w paleńniku, za dużo go, aby tam się zmieścił. Złoty blask spływa na podłogę, rozlewa się po ścianie i po twarzy dziadka.

Biały ulan patrzy w płomienie. Jego żołnierze robią to samo. Patrzyłem także i ja; patrzyłem, ale później uśmiechnąłem się lekceważąco i przestałem patrzeć. Bo nie było na co, bo ten ogień, to wcale nie był ogień, to nie był żaden pożar! Widziałem już w życiu większe ognie i groźniejsze pożary. I dlatego ten domowy, zwykły ogień wydaje mi się bardzo śmieszny, bardzo dziecinny.

Spojrzałem w okno. Tuż za naszymi oknami ciągnie się sad. W lecie nie nie widać, bo gałęzie dotykają szyb i zielone liście. O tej porze jednak widoczność jest doskonała. I jeżeli patrzy się prosto przed siebie, to można zobaczyć kawałek ulicy, a potem domy. Te domy są czarne. Przedtem były inne. Obecnie są jednak czarne. Pamiętam się w dawnych barwach i mogę je nawet wymienić: pierwszy był szary, drugi niebieski, a trzeci białawy; pamiętam, jak domy te zmieniały swój kolor i pamiętam, że stało się to podczas nocy. Spałem. Nagle zbudziła mnie jasność. Kiedy otworzyłem oczy, myślałem, że to dzień. „Czego ludzie



Ręka tamtego... chwyciła za pistolet

Rys. J. Lis

dziwi, ale że ty... Stary a głupi — trzasnęła drzwiami.

Chrząknąłem. Popatrzyłem porozumiewawczo na dziadka. Powiedziałem:

— Z ciotką tak zawsze. Nie ma się czym przejmować. Ona ma migrenę.

Dziadek machnął ręką.
— Ona już taka jakaś — mówię. — Nic na to nie poradzimy.

— Ech... — wzdycha dziadek. — Nie ma o czym mówić. Przynieś lepiej zapalki, podpalimy.

Poszedłem. Przyniosłem z kuchni zapalki. Dziadek wziął je w swoje ręce, otworzył pudełeczko, wyciągnął jedno cienkutek drewnienko z ciemną główką. Potem pochylił się, zajrzał w czarną cześć pieca, poprawił szczapy drzewa, podłożył papier.

— Będzie ciepło — mruczy do siebie jak kot. — Ciepło będzie, dobrze będzie, ech, nie ma to jak ciepło, nie ma to jak słońce!

Blyszęło. Dziadek trzyma w palcach złotawy ogień i wygląda jak choinkowy anioł z gwiazdą w dłoniach; wygląda bardzo ładnie. Patrzę nań z przyjemnością, uśmiecham się, jest mi wesoło.

— Będzie ciepło — mruczy dziadek. — Dobrze będzie, no nie?...

Kiwam głową. Zaglądam w głąb pieca, w którym jest pełno jasności jak światła w słoneczny dzień. Płonie papier, języki ognia liżą drewniane szczapy, pali się... Dziadek coś mówi, pyta mnie o coś, ale ja nie zwracam na to uwagi. Zapatrzyłem się w płomienie obserwując powolne konanie drzewa: słyszę jego jęk: taki dziwny, suchy trzask.

— Strzela — mówi dziadek. — Rozhulał się piec i drewno zaczyna strzelać. Słyszysz?

Słyszę. Zaglądam w głąb pieca. W

tak krzyczą? Nikt mi nie odpowiedział. „Dlaczego ci ludzie płaczą?”

Słyszałem za oknem płacz kobiet: jęk i zawodzenie. Wskoczyłem z łóżka, uniosłem się na palcach, patrzyłem. Zobaczyłem domy. Wszystkie stały w ogniu. Palił się szary, niebieski i białawy. Dziadek był przy oknie: dotykał czołem zimnej szyby. Raptem odwrócił się i powiedział: Podpalili, sukiny. „Ależ dlaczego — zapytałem — dlaczego to sukiny podpalili, proszę dziadka? I dlaczego dziadek nie krzyczy?”

Dziadek milczał. Nie odpowiedział mi wtedy ani później. Nikt z resztą nie odpowiedział mi na to pytanie. Zastanawiam się, gdzie tkwi przyczyna. Czy moje pytanie jest głupie (?). Może nie warto na nie odpowiadać? Jak to jest naprawdę, bo nie wiem...

Spooglądam w ogień. Dziadek spoogląda również.

— Zaraz będzie ciepło — mówi. — Zaraz się nagrzej. Czujesz?

Kiwam głową, bo od pieca płynie fala ciepła. Jest coraz przyjemniej. Ołowiowi żołnierze przestali marznąć w nogi. Humor im się poprawił i ogólne samopoczucie. Maszerują dziarskim krokiem i znów śpiewają, tak jak przed chwilą, tarara-bum-tara...

Ciotka weszła do pokoju niespodziewanie. Właściwie to nie można powiedzieć, że ona weszła. „Weszła” — to sformułowanie zbyt łagodne. Ciotka wpadła do pokoju — tak można to określić, tak będzie lepiej.

Kiedy ciotka wpadła do pokoju, dziadek skrzywił się niezmiernie, mrugnął do mnie okiem i szepnął:

— Będzie gderać.
Ciotka miała zaczerwienioną twarz. Jej blade policzki zaróżowiły się, jakby posypano je pudrem. Zaciekawilo

mnie to, gdyż ciotka nigdy nie używała kosmetyków myślic, że to grzech. Spojrzałem na nią uważnie. Trochę dziużej patrzyłem na jej drżące ręce.

— Pukają — powiedziała.
— Co?
— Walać do drzwi.
— Kto? — zapytał dziadek.
— Goście? Gość w dom, Bóg w dom. Czego się denerwujesz? — powoli podniósł się z krzesła.

— To nie goście — rzekła ciotka. To oni.

Dziadek zmarszczył czoło.
— Co?
— Tak — rzekła ciotka. — Widziałam przez okno.
Dziadek szybko wyszedł z pokoju.
— Baw się grzeźnicie — powiedział do mnie.

„Dobrze”, pomyślałem i zostałem sam i bawiłem się bardzo grzeźnicie ołowiowymi żołnierzami. Żołnierze szli na wojnę śpiewając marszową pieśń: szli przez pola i lasy. Biały ulan jechał na przedzie wymachując szablą. Wyglądał z nich wszystkich najpiękniej i najgroźniej; jego srebrzysta szabla mogła przestraszyć najodważniejszego. Wojsko śpiewało przez cały czas. Umilkło dopiero wtedy, gdy z łoskotem otworzyło się drzwi, bo ktoś kopnął je butem.

Trzech ich było. Wszyscy trzej mieli podobne buty — podkute buty. Zadrzczyłem im. Gdybym miał takie, mógłbym biegać po śniegu. Szkoda, że nie mam takich butów — myślałem.

Pytają dziadka. Dziadek odpowiada. Nic z tego nie rozumiem, bo mówią jakimś dziwnym językiem. Patrzę na ciotkę, lecz ona nie potrafi mi nic wyjaśnić. Nie rozumie, tak samo jak ja. Trzesie się cała, jej twarz jest coraz bardziej czerwona.

Któryś krzyknął na dziadka. Dziadek milczy. Tamten złośliwie i trzaskając pięścią w stół. Drgnęli moi żołnierze, zaniepokoił się, patrzy, co będzie... A dziadek milczy, chociaż tamten nie przestaje wrzeszczeć, chociaż miota się po pokoju jak opętany, kopie krzesła, przewraca je na ziemię i ryczy przeraźliwym głosem.

Ci dwaj, którzy z nim przyszli, skoczyli do szafy. Wyrzucają z niej wszystko na podłogę, wysypują wszystko z szuflady, ściągają z półek nawet książki i moje kolorowe bajki. Dziwuję się dziadkowi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego na to pozwala. Przecież oni wszystko nam zniszczą, nie tu nie zostanie, nie nie ocaleje. Dlaczego dziadek milczy?

Zaczął mówić. Wreszcie zdecydował się, chwala Bogu... Bo już nie mogłem tego dłużej znieść, naprawdę. Ale dziadek przebudził się i zaczął mówić. Tamci jednak wcale go nie słuchają. Dziadek swoje, a oni swoje: śmieją się, wrzeszczą ramionami. No i zdenerwował się dziadek i podniósł głos — padły ostre słowa.

Biały ulan uśmiecha się pod nosem: w porządku, dziadek się nie boi...

W porządku — myślę sobie — jak najbardziej w porządku, bo nie przestraszył się dziadek, bo nie przeląkł się tamtych, no bo dziadek nie jest tchórzem, on jest bardzo odważny, był na wojnie, ma nawet w szufladzie order za męstwo — on im pokaże, on im da tym łobuzom w podkutech butach.

Dziadek prawie że krzyczy. Wymachuje rękami. Tłumaczy tamtym, ale oni nie słuchają, są obojętni na jego prośby i zakłęcia, wciąż wrzeszczą ramionami, wciąż śmieją się z niego, wreszcie któryś odwrócił głowę i krzyknął.

Biały ulan ścisnął mocniej szablę. No! no! Nie bądź taki ważny, nie drzyj się, milcz lepiej, bo...

Halas przewracanych krzesel. Co jest?... Tamten idzie wprost na dziadka. Czego on chce? Co on zrobi? Halas przewracanych krzesel. Dziadek chwyciła się za nogach. Krzyk ciotki: morduj!...

Nieprawda. Dziadek żyje; dotyka dłońmi policzków. Ręce mu czerwienieją, gdyż po jego twarzy cieknie struga krwi. Jaskrawa plama rośnie w oczach, staje się coraz większa, zbiera ją rzeka.

Biały ulan zadrażlił. Chciał coś powiedzieć, chciał się wtrącić, ale głos zamarał mu w gardle. Jego żołnierze przyglądają mu się bacznie ociekując rozkaz. Cisza. Ulan milczy. Zaszło mu w uszach.

I wtedy dziadek zachwiał się znowu i upadł. Ciotka jęknęła:
— Matko Przynajświętsza, Oredow-niczko nasza, ratuj!...

(Dokończenie na str. 10)

Kwiaty polne

LITERATURA ludowa zapisała piękne karty w dziejach walki o wyzwolenie narodo-
we i społeczne Polski. Nie złożyła ona broni
i wtedy, gdy kraj nasz po pierwszej wojnie
światowej odzyskał niepodległość. Pozostała
na milionem głodujących chłopów w XX-leciu
międzywojennym, towarzyszyła walczącym z hi-
mierskim okupantem żołnierzom Batalionów
Chłopskich. Była wraz z masami zawsze, dzieląc
ich troski i radości, kłęski i zwycięstwa, wyty-
czała cel, dodawała otuchy i wiary w jego zdo-
łanie, oświetlała drogę prowadzącą do Polski
Ludowej.

Długa jest lista nazwisk chłopskich szermierzy
pióra. Otwierają ją nazwiska Jantka z Bugaja
i Ferdynanda Kurasia, których uważa się za „oj-
ców polskiej literatury ludowej”. Jest rzeczą
godną podkreślenia, że nie brak na tej liście
nazwisk pisarzy związanych z Lubelszczyzną —
z Kajetanem Sawczukiem, Jakubem Raciborskim
i Stanisławem Bojarszczykiem na czele.

Nie jest też dziełem przypadku, że i dzisiaj
twórcy Ziemi Lubelskiej godnie podtrzymują
chlubne tradycje, należąc, zarówno pod wzglę-
dem ilości, jak i poziomu ideowo-artystycznego
do najsilniejszych ośrodków w kraju, o czym
bardzo wymownie świadczył zorganizowany w
Należcovie w roku 1961 ich zjazd. Co więcej,
piszą nie tylko sami, ale stają się także inspi-
ratorami twórczości dla poetów innych regionów.
Pragną również — przez powołanie do życia Klubu
Pisarzy Ludowych — ująć w zorganizowane ramy
całą działalność rozproszonych, zdanych niemal
wyłącznie na własne siły twórców różnych re-
gionów.

O doniosłości tego zamierzenia nie trzeba
chyba nikogo przekonywać. Warto natomiast
wspomnieć o inicjatywie Wydawnictwa Lubel-
skiego, które — przy częściowej pomocy finan-
sowej Wydziału Kultury PWRN w Lublinie —
w perspektywicznych planach edytorskich na
najbliższe lata wyodrębniło — jako jedną z dzie-
dzin zainteresowania — twórczość ludową. Fakt
ten nie jest dziełem przypadku, Lubelszczyzna
bowiem to jedno z najbardziej zacofanych
w okresie przedwojennym województw, stano-

wiących niesławnej pamięci tzw. „Polske B”,
a i dziś bodaj największy rezerwu kultury ludo-
wej w kraju. Dlatego też, pragnąc „ocalić od
zapomnienia” i utrwalić to wszystko, co w fol-
klorze najcenniejsze, Wydawnictwo Lubelskie po-
wołało do życia „Lubelską Bibliotekę Ludową”,
w ramach której ukazało się już siedem tomów:
„Wieża malowana”, „Wieś tworząca” oraz pięć
indywidualnych tomików poetyckich: „Bławatki”
— Władysława Kuchty, „Maki” — Stanisława
Buczynskiego, „Malwy” — Jana Pocka, „Kakole”
— Bronisława Pietraka i „Miezapominajki” —
Józefa Kapuścińskiego.

Ta seria „kwiatów polskich” ma za zadanie spopula-
ryzować zarówno starsze, jak i współczesnych sa-
morodnych twórców tego regionu, podobnie
zresztą jak i pisarzy białostockich, kieleckich
i rzeszowskich. Daje też — przedstawicieli in-
nych województw. Planuje się zresztą nie tylko
tomiki poświęcone poezji i prozie, ale również
zagadkom „miejscowym”, legendom, bajkom,
tańcom, wybitnym kowalstwem artystycznym,
rzeźbie, pisanek, słowem — wszelkim przeja-
wom folkloru. Jeśli plany te zostaną zrealizo-
wane — Wydawnictwo Lubelskie stanie się pa-
tronem twórczości ludowej w skali ogólnopolskiej.

Wzrastające zainteresowanie dla samorodnej
twórczości m.in. dla literatury, daje się potwier-
dzić potęgą popularyzowania dorobku „twór-
ców spod strzechy”. Prostota, głębia uczuć, umi-
łowanie ziemi, wyjątkowe wprost odczuwanie
piękna przyrody, oryginalna metaforyka, melo-
dyjność wiersza, wreszcie problematyka utworów,
która obraca się wokół spraw człowiekowi naj-
bliższych, mówi o tym, co go otacza, co robi, co
odczuwa, czym się smuci, czym cieszy, jakie są
jego pragnienia — to wszystko decyduje w su-
mie o poczytności ludowej poezji i jej — w pew-
nym sensie — renesansie w dobie dzisiejszej.

W okresie minionych dwudziestu lat do lite-
ratury ludowej wkroczyło życie nowej wsi, ży-
cie pełne nadziei i planów, dokonujących się
z dnia na dzień zmian, zarówno w psychice
mieszkańców, jak i otoczeniu, w metodach gospo-
darowania i rządzenia. Chłop poczuł się prawdzi-
wym gospodarzem i już nie jak Maria Konopni-
cka czy Władysław Orkan, ale jak Jan Kocha-
nowski zaczął patrzeć na własne życie, szukając

w nim przejawiającego się w najrozmaitszych
formach piękna. Poezja stała się powierniczką
jego najskrytszych uczuć, jej bez wahania ufa,
działając się radością i łzami.

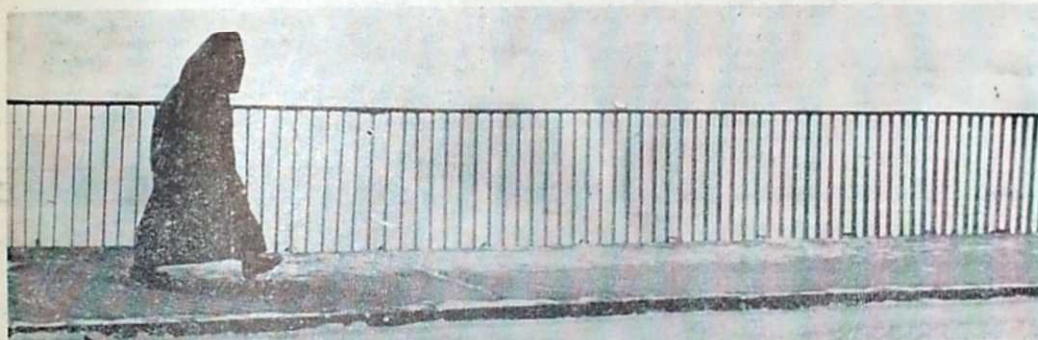
Przywiązanie do ziemi, szczerze uczucie i pros-
tota — to motywy, które współczesnej poezji
przekazała w spadku literatura klasyczna. Zmie-
nia się bowiem problematyka i wzbogaca cod-
ziennie o materiał, który dostarcza nowe życie
w nowej wsi. A więc — nowe treści i nowa for-
ma — tak należałoby scharakteryzować współ-
czesną twórczość na wsi.

Podniesienie się kulturalne całego narodu pol-
skiego w okresie minionych dwudziestu lat spo-
wodowało m. in. to, że proces zacieraania się
różnic między miastem i wsią postępuje w bardzo
szybkim tempie. Wraz z elektrycznością, aparata-
mi radiowymi i telewizyjnymi, teatrem, fil-
mem, książką, prasą, strojem miejskim i piosen-
ką wkroczyło na wieś miasto, Opuszczająca szkoły
i uczelnie wyższe młodzież chłopska, migracja ludo-
ności wiejskiej do miast, dojeżdżający do pracy w
zakładach przemysłowych rolnicy, zacieśniające się
systematycznie kontakty między miastem i wsią
— dopiero to wszystko przepowiada rychły koni-
ciec sztuki samorodnej, która rosła na swojskiej
glebie, z dala od wpływów kultury „oficjalnej”,
miejskiej.

Dlatego też w twórczości współczesnych poe-
tów ludowych coraz częściej obok gwary spotyka
się język i cechy znamiennące „prawdziwą lite-
raturę”. A więc — dzięki zdobyciom Polski Lu-
dowej, dzięki podnoszeniu się poziomu kultury
na wsi — poezja chłopska staje w obliczu awansu,
staje wobec perspektywy nieuniknionej koniecz-
ności wtopienia się w niedalekich już latach w
nurt literatury ogólnonarodowej.

W drugiej połowie maja odbył się w Na-
leşcovie zjazd pisarzy ludowych, w którym
udział wzięli twórcy samorodni Ziemi Lubel-
skiej, reprezentanci trzech zaprzyjaźnionych z
nimi województw: białostockiego, kieleckiego
i rzeszowskiego oraz przedstawiciele innych re-
gionów Polski. Pragnieniem organizatorów zjazdu
jest, by ich poezja, stanowiąca już dziś pewnego
rodzaju zabytek, mogła przemówić do wszystkich
pełnym głosem i raz jeszcze ukazać całą swoją
krasę.

Fotogramy Andrzeja Polakowskiego (Lublin)



Rankiem na moście



Świąteczny koncert



Widok z okna

STANISŁAW PORĘBA

Wspomnienie z wojny

Nie zdążył

Podniósł się kwiat ognia
pięść huk uderzyła po drzewach
osy odłamków wwierciły się
w odległość
ziemia skoczyła na niego

O horyzont pukały strzały
leżał
z nadzieją w oczach

Inni poszli naprzód

Grudziądz

ARMAND KASPROWICZ

* * *

W popłątanych zawikłanych drogach
w ślepych zaułkach
w kolorowych wargach w suchej
namiętności
w spływających kropłach meteorów
w zimnych nieopalanych nocach
w ukrzyżowanej nadziei
w godzinach bezczynności
w soplach uczuć zawieszonych
nad pułapem świadomości
w bezbolesnych uśmiechach
darmowych pieszczot
w przenikliwych kolorach
nagich gałęzi
w pustyni osamotnienia
zoleralem ciebie
aby ulepić arkę i nie zatonać
na tym morzu goryczy.

Ostatni rachunek sumienia
byłmi zawsze sam.

Przemysł

Poetka Ziemi Lubelskiej

W roku bieżącym upłynęła setna rocznica urodzin Franciszki Arnsztajnowej, poetki niemal przez całe życie związanej z Lublinem. Urodziła się tu w 1865 roku w rodzinie Meyer-sonów. Należy do poetyckiego pokolenia Młodej Polski: wydała dwie serie Poezji (1895 i 1899). Związana była bardzo blisko z konspiracyjną pracą niepodległościową. Przypominając tę usuniętą w cień postać, warto zwrócić uwagę na jej działalność literacką w międzywojennym dwudziestolecu.

Lata trzydzieste, ostatnie lata lubelskie w życiu poetki, wyraziły się wielką aktywnością organizatorską i pisarską. Stało się to w pewnym stopniu za sprawą Czechowicza i wiązało się z działalnością Związku Literatów w Lublinie. Trudno dziś orzec, do kogo należała pierwsza myśl utworzenia Związku. Pewne jest, że Czechowicz nosił się z takim zamiarem od powrotu z Francji w 1930 roku. Związek natomiast oficjalnie został założony 21 maja 1932 roku. Arnsztajnowa należała do najgorętszych zwolenników Związku, najwięcej też troszczyła się o to, by w Związku naprawdę coś się działo. Pobudzała młodszych kolegów po piórze do bardziej energicznego zajmowania się sprawami założonej organizacji pisarskiej. Nie przestała orga- nizacji pisarskiej. Nie przestała orga- nizacji pisarskiej. Nie przestała orga- nizacji pisarskiej.

Prezesa Związku był początkowo Czechowicz, ale bardzo szybko ustąpił zaszczytu seniorce lubelskiej pisarki. Arnsztajnowa przeszoła Związkowi do swego wyjazdu z Lublina w 1934 r. Czechowicz piastował natomiast godność wiceprezesa, a następnie skarbnika, którym jakiś czas był nawet na odległość — z Warszawy, dokąd przeniósł się latem 1933 roku. Dostępne dokumenty i materiały pozwalają sądzić, że Arnsztajnowa i Czechowicz byli istotnie filarami Związku w pierwszej fazie jego działalności. Wiele czasu poświęcił też na pracę w Związku, zwłaszcza po wyjeździe Czechowicza, poeta i nauczyciel, Antoni Madej. Pisał Czechowicz w liście (z 10.VI.33) do K. A. Jaworskiego, zapewne przekrawiając obraz sytuacji: „Dziśszy czas (do Wielkanocy) nie się w Związku nie działo, bo ja wyjechałem — nie mam zamiaru chwalić się w ten sposób, ale młodzi to lenie skończono, a starsi: Madej, Wacjo, Kondzio — to lenie nieskończoności. Staruszka (tak Czechowicz nazywał Arnsztajnową) robi, co może, ale sam wiesz, że niewiele może. Im bliżej ją poznaję, tym więcej ją cenię. To znaczy człowiek przez duże C”.

Istotnie — Arnsztajnowa kontakto-

wała się ze światem z trudnością. Prawie całkowita utrata słuchu skazywała ją na porozumiewanie się z ludźmi za pomocą pisma, rozmowa z nią (oczyła się trybem korespondencyjnym. Z tego i nie tylko z tego powodu prawie wszystkie zebrania Związku Literatów odbywały się w mieszkaniu Arnsztajnowej. Oddziaływała ona na swoich o wiele młodszych kolegów. Ale działalność to było obustronne. Aktywność młodego środowiska literackiego pobudzała jej pisarską działalność. Rok 1932 przynosi dwa tomiki poezji wydane pod firmą Związek: „Duszkę” i „Odłoty”. W latach 1932—33 powstają utwory składające się na tom „Stare kamienie”, wydane w 1934 r. wspólnie z Czechowiczem. Wiersze zamieszczone w tym tomie można uznać za drugi debiut Arnsztajnowej. Okazało się, że umiała w nich wyświadczyć doświadczenia poetyckie młodych, potrafiła odejść, przynajmniej częściowo, od swej dawnej mowy poetyckiej o młodopolskim rodowodzie. Wiersze Arnsztajnowej ze „Starych kamieni” powstały z inspiracji promieniowania liryki Czechowicza. W „Starych kamieniach” autorstwo poszczególnych wierszy nie zostało oznaczone. Fakt, że do wydanej w 1955 roku zbioru wierszy Czechowicza włączono wiersz Arnsztajnowej „Na Olejnej”, nie świadczył dobrze o wydawcach. Wszak był on drukowany w „Kamieniu” pod właściwym nazwiskiem. Ale że taki wypadek mógł zaistnieć, to wystawia Arnsztajnowej wysokie świadectwo. Niektóre fragmenty jej wierszy, jak choćby zakończenie wiersza „Wiatr nocny” na placu starej fary, mogłyby być przepisane z Czechowicza.

Sąsiedzący młodego, zdolnego poety i zasłużonej przedstawicielki poprzedniego pokolenia poetyckiego było ładnym gestem obu stron, niemal symbolem. Ale Arnsztajnowa pozostała mimo wszystko osamotniona, być może odczuwała nawet jakieś lekceważenie własnej twórczości. Może jeszcze inne powody sprawiły, że w listach poetki pojawiały się niekiedy zastrzeżenia czy wyrzuty pod adresem młodszych kole-

gów ze środowiska pisarskiego. Były też jakieś niejasności w stosunkach Arnsztajnowej z Czechowiczem. Czyżby dlatego sprzeciwiała się ona drugiemu wydaniu „Starych kamieni”? O poezji Czechowicza wyrażała się Arnsztajnowa w słowach jak najlepszym, ale w listach pojawia się czasem o autorze „Ballady z tamtej strony” zgrzyliwa uwaga. Może w postępowaniu Czechowicza było coś, co razilo starszą pisarkę; powodowało zastrzeżenia.

W 1934 r. Arnsztajnowa wyjeżdża do Warszawy. Z Lublinem nie zrywa łączności, ale siłą rzeczy łączność ta jest bardzo słaba. Interesuje się poetka losem Związku, czyni z odległości wszystko aby go utrzymać przy życiu i uaktywnić jego pracę. Kontakt z dawnym środowiskiem potrzebny jest samej Arnsztajnowej, bowiem w Warszawie czuje się jeszcze bardziej osamotniona i odizolowana. Pisała: „O sobie nic nie piszę. Wciąż jeszcze żyję w oddaleniu od wszelkich spraw tego świata. Trochę już mi się język w trąbkę zwinął zaczyna i popelniam małe grzechy poetyckie”. Powraca w jej listach jakby tęsknota i żal za lubelskimi latami: „Osobiście mam teraz jeszcze ciągle uczucie, że w Lublinie byłam potrzebna, a tu przecież i bez mnie jest dosyć ludzi, którzy „złotą kulę” naprzód popychają. Coraz bardziej zasklepiam się w sobie. Nie wiem czy to dobrze, czy źle?” (List z 2.1.35).

W kilka lat później obserwujemy znowu podjęcie prób pisarskich. W „Pionie” Czechowicz drukuje kilka wierszy Arnsztajnowej. Autor „Nocy człowieczej” podtrzymał w Warszawie z sędziwą pisarką dawne kontakty, ceniąc sobie tę znajomość. O Arnsztajnowej wyrażał się zawsze jak najlepiej. Jeden z przykłałów był przytoczony. Powracał do dawnej praktyki poetyckiego dwugłosu z Arnsztajnową. Pojawiały się one w „Pionie” i „Piórze”. W liście do M. Małkowskiej-Wydrowej (z 8.VII.38) pisał m. in. Czechowicz:

Cieszę mnie, że ci się nasz (staruszek i mój) dwugłos tak podobal. Mamy zamiar kontynuować go i później wydać jako maleńką książeczkę. Na razie oboje pracujemy nad przekładem z angielskiego, zamówionym przez Polskie Radio, z czego oboje uzyskamy po 200 zł. Póki Staruszka była tu, odwiedzałem ją dwa razy w tygodniu, teraz zaś jeżdżę do Konstancji co wtorek”.

Te poetyckie dwugłosy odznaczają się wyjątkowo dużym zbliżeniem myślowym i pokrewieństwem techniki poetyckiej. Wypowiedzi obojga autorów mają wspólny klimat, nawiązują do

słobie, zazębiają się, rozwijają wspólny motyw. Wojna brutalnie przerwała te rozmowy. Padł Czechowicz rakony bombą. Arnsztajnowa dostawała się do getta i tu została zamordowana w 1943 roku. Czy przeczuciwała taki koniec wady, gdy pisała w „Dwugłosie” o poezji jako ciągłych łowach? To zapewne jeden z ostatnich jej wierszy:

„O łowy, o skowrończym rytmem
drżącej dłoni
chwytane nieudolnie w sieć nikle
okruchaj!
Jak zachód. Dzień się kończy. Cóż
łozów niewolnik
ma w sieci? — pytał motyliach
puchów...”

(Wszystkie cytowane listy Arnsztajnowej były pisane do Antoniego Madeja).

FRANCISZKA ARNSTAJNOWA

Brama Krakowska

Nocą

W starym sklepieniu Krakowskiej Bramy

wysoko świeci lampy elektryczne księżycowe oko.

Lęk nieprzytomny serce szarpie.
Na Boga! nie pójde tam sama!
Cień tu swój zostawił.
Wczoraj? Czy dawno? Nie pomnę.
Wśród groźnej ciszy wypelza do mnie za skarpę,
rozżarzonymi patry oczyma i szepce. Co mówisz? Nie słyszę.

Rankiem

Z Bramy Krakowskiej ganku góra, góra,
pioną grodu mury,
mosiężnie, triumfalnie wylatuje Poranek.

Mdleja struchlałe cienie.
Już skrzydła złotopole
pieszczą głowy siwe kamienie.
O słońce, słońce,
tym ustom gorącym
ktoż oprzeć się zdoła!

(Stare kamienie, Lublin 1930)

Debiut

KALINA BILSKA

Odbicie

Twoje odbicie przetrwało w mych oczach,
w powietrzu, którym oddycham.
Codziennie widzisz niebo,
które i ja obejmuję spojrzeniem.
Chodzisz po ziemi,
która i moja jest odczyną.
Byłeś mój
— pytam siebie, choć może ty odpowiesz —
czy tylko mej wyobraźni
spiętrzeniem?
Dlaczego teraz uciekasz?
Czy na tej planecie
już nigdy się nasze dłonie nie splotą?

Arlekiny

Twarze arlekinów,
martwe twarze arlekinów.
Garska trocin,
kawalki drewna.
Śmieśne stworci skaczące na sznurkach
w takt zagranej melodii.
Nie was nie ożywi,
Może miłość?
Ale miłość nie dla was —
garsko trocin,
kawalki drewna...
O, arlekinny smutne:
was mała Li nie pokocha nigdy!

Końskie

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

NOC na dworcu

Dlaczego dworzec kolejowy jest niemal zawsze pełen ludzi? Odpowiedź wydaje się być tak prostą i jednoznaczną, jak samo pytanie: ponieważ jest to miejsce, gdzie ludzie rozpoczynają lub kończą podróż. Sądziłem podobnie do czasu, kiedy podczas kilku kolejnych nocy spędzonych na stacji zobaczyłem inne oblicze dworca, dotarłem do różnych przyczyn powodujących jego zaludnienie. Stąd tych kilka obrazków podanych w kolejności dyktowanej przez zegar dworcowy, zbliżeń ujętych w ramy czasu. Ograniczyłem się do godzin wieczornych i nocnych, ponieważ pozostała część doby wystarczająco charakteryzuje odpowiedź na pytanie postawione na początku.

Oczekiwanie na program TV

Godzina 22. Na szklanym ekranie biele dłonie odliczają klawisze. Większość zgromadzonego tłumu patrzy na migocący ekran, niektórzy słuchają, kilkoro czyta głośno, gęsto stłoczeni w niewielkiej salce świetlicy dworcowej. „Uwaga, uwaga! Pociąg osobowy do Białegostoku

podstawiony jest przy peronie trzecim... planowy odjazd godzina 22.40”. Od ścisłego tłumu odrywa się młoda grupa z tarczami szkolnymi na rękawach. Dziewczęta narzucają kolorowe chustki na włosy, wychodzą. Wysoki chłop w wyszywanym kożuchu coś tam klaruje swojej towarzyszyce, ona przeczy ruchem głowy, zmęczona jest widać, ale nie rusza się z miejsca; przepuścili już dwa pociągi, nie pojada i tym; tutaj, w świetlicy dworcowej, spotkali to, czego w ich wiosce jeszcze nie ma.

Godzina 22.30. Tych dwoje (dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery lata) siedzi w pierwszym rzędzie od siódmej, mają właśnie dziesiątą trzydziestą, a więc celebrowali już program historyczny, dziennik, „dobranoc”, zapoznali się z problemami miasta, widzieli sztukę teatralną, uzupełnili informacje z kraju i ze świata jeszcze jednym dziennikiem i dalej patrzy, on w rozpiętej szeroko kufajce, ona płaszcz położyła na oparciu krzesła, czasami sprawdza ręką jego obecność.

A oto inni: robotnicy, uczniowie, chłop, urzędnik wraz z tymi których trudno zaszereżować do jakiegokolwiek kategorii społecznej, jak np. „Jesion”, lat około 55, niewysoki,

szcuple, zaczesany na misterną „pożyczkę”, codzienny, a raczej conocony bywałec dworca, dawny rzemieślnik, który lubi wypić i pograć w warcabo, a gra nieźle. „Nawet mistrza kaprala ogrywam”!

Znow jakiś hałas, tym razem w środku sali, dwóch się pochyliło nad towarzyszem, który zasnął na stojąco i grzecznie, a niespodziewanie kucnął. Trzeba go podnieść, sam chyba nie może, bo i odorek któregoś tam piwka wyraźny. Szybko postawili go na nogi, wytarli mu oczka i zgodnie patrzą na ekran. „Jesion” nie wytrzymał i ładnie skomentował, że „jak główka przyćmiewa, to i nóżki za słabe”. Uczyli go szybko i patrzą w stronę migającej bieli, za którą na ścianie kolorowe bratki podpierają hasło „Książka uczy i uszlachetnia człowieka”.

Rozlegają się ostatnie akordy, głośno szklane oko i zalega krótkotrwała cisza przzerwana stacijnym głośnikiem: „Pociąg osobowy do Krakowa podstawa się przy trzecim peronie... Planowy odjazd godzina 0.12”. Ostatni pociąg przed nocną przerwą. Większość wychodzi, słychać uwagi i komentarze, tak różne, jak odmienne jest wykształcenie ludzi i ich telewizyjna rutyna.

(Nie należy ten wieczór w dworcowej świetlicy do wyjątkowych, a przeciętnie — jest najbardziej typowym, jednym z wielu dobrych i potrzebnych wieczorów, podczas których rozszerza się ludzka wiedza, uświadomienie, rodzą się nowe potrzeby i wykształca się nowa towarzyska obyczajowość. O tym, że ten bezkrytyczny odbiór skomasowanej informacji posiada swoje złe strony, za wczesnie jeszcze mówić, nie mniej warto to zaszyfnować.)

Na granicy dwóch województw

POZORNIE nie się tu nie zmienia. Powiat lubaczowski zawsze należał do najbardziej rozwiniętych w całym województwie rzeszowskim. Ostatnia wojna przyniosła mu olbrzymie straty, spowodowane operacjami frontowymi, a w jeszcze większym stopniu działaniami band UPA. Zniszczone zostało szczególnie rolnictwo, będące podstawą gospodarki powiatu.



„Biała niedziela”.

Po wojnie uruchomiono w powiecie kilka zakładów przemysłowych. Dla rozwoju przemysłu wielkie znaczenie miało odkrycie w roku 1957 wielkich złóż gazu ziemnego, dających już obecnie ponad 2 tysiące metrów sześciennych gazu na minutę. A jednak w powiecie występuje nadwyżka siły roboczej.

Pozornie więc — pomimo takich czy innych osiągnięć — młodzież lubaczowska nie powinna mieć powodów do wielkiego optymizmu. Można by przypuszczać, że lepsze perspektywy życiowe czekałyby na nią w innych, bardziej rozwiniętych rejonach kraju.

A mimo to mieszkańcy Lubaczowa i powiatu nie są pesymistami. Wierzą, że z roku na rok będzie im się żyło lepiej i pomyślniej.

W Lubaczowie postawiono bowiem na kartę, która zwie się „wiedza”. Na ostatnim spotkaniu władz powia-

tu z rektorem UMCS; prof. dr G. L. Seidlerem, dziekanem Wydziału Humanistycznego UMCS doc. dr St. Krzykałą i grupą studentów lubelskich uczelni, i sekretarz KP PZPR, Mieczysław Os, apelował do młodzieży akademickiej, by po ukończeniu studiów osiedlała się w tym powiecie. Powiat potrzebuje wielu ludzi z wyższym wykształceniem. W najbliższym czasie uruchomione będą dwie nowe szkoły: Technikum Mechaniczne i Technikum Rolnicze. Potrzebni będą nauczyciele. PGR, kółka rolnicze i inne placówki związane z produkcją czekają na agronomów, zootechników, lekarzy, meliorantów, ogrodników i innych specjalistów z wyższym wykształceniem. W lubaczowskim czeka praca na lekarzy medycyny i weterynarii, farmaceutów, przyrodników, prawników i humanistów.

W powiecie lubaczowskim pracuje obecnie 100 osób z wyższym wykształceniem. Są przeciętni obywatelami zawodowymi. Nie boją się młodych absolwentów wyższych uczelni. Czekają na nich, czekają na ich pomoc i nowe inicjatywy.

Wyraz temu stanowisku dała inteligencja lubaczowska zakładając u siebie koło Towarzystwa Przyjaciół UMCS. Był to nie tylko akt formalny. Lubaczowianie gościli już u siebie rektora UMCS i zespoły artystyczne z lubelskich uczelni. Wysłali też następane zaproszenia. Mają już za sobą „biało-zieloną niedzielę” czyli wizytę grupy studentów medycyny i weterynarii z AM w Lublinie, która przeprowadziła badania ludzi i zwierząt w miejscowościach najbardziej oddalonych od stałych punktów lekarskich. W chwili, gdy oddawaliśmy ten numer do druku, zapowiadany był wyjazd maturzystów lubaczowskich do Lublina celem zorientowania się w możliwościach studiów na lubelskich uczelniach. Do Lubaczowa przyjadą dalsze zespoły artystyczne z WSR i AM. W czasie wakacji 7 przedstawicieli młodzieży lubaczowskiej weźmie udział w obozach młodzieży studenckiej z Lublina.

Lubaczów leży na granicy dwóch województw, zaliczanych kiedyś do Polski B: lubelskiego i rzeszowskiego, leży na odległych krańcach kraju, tuż nad granicą. Ale ani miejscowe społeczeństwo, ani władze nie uważają wcale, że Lubaczów skazany jest przez to na rolę zaścianka.

Filipinki i... polityka

(Dokończenie ze str. 1)

tury walczyło o pierwszeństwo 18 trzyosobowych drużyn. Warunki konkursu niełatwe — eliminacje pisemne, następnie ustne, oparto na systemie quizowym, wszystko to, oczywiście, w połączeniu z tzw. „częścią artystyczną”, w której brały udział szkolne, zespołowe zespoły. Pytania, na które museli odpowiedzieć uczestnicy olimpiady, obejmowały wszystkie dziedziny życia politycznego, kulturalnego i gospodarczego Polski, niewiele mniejszy zakres wiadomości obowiązywał w odniesieniu do innych krajów. Przez cztery godziny toczyła się zacięta walka pomiędzy najlepszymi drużynami: z Puław, Kraśnika i Leśnej Podlaskiej i przez cztery godziny z coraz większym zdziwieniem obserwowałem siedzącą na sali stojącą w przejściach pod ścianami (bo brakło miejsc) młodzież.

O poziomie przygotowaniu samych zawodników niechaj świadczy fakt, że zwycięska drużyna Puław na 45 punktów możliwych zdobyła w wojewódzkich eliminacjach — 41. Dwie pozostałe drużyny miały podobne osiągnięcia.

Wartość imprezy organizowanej corocznie przez ZMS i ZMW jest ogromna. Z punktu widzenia społecznego i politycznego niezaprzeczalnie większa, niż cieszący się już zasłużoną tradycją olimpiad matematycznych czy chemicznych. O ile bowiem te dwie ostatnie — przy całych swoich zasługach dla rozbudzenia zainteresowania matematyką, czy chemią wśród szerokiego kręgu społeczności uczniowskiej — prowadzą jednak w efekcie jedynie do wyłonienia kilku bardzo zdolnych jednostek (najczęściej przyszłych naukowców), już i tak przez wrodzone predyspozycje skłaniających się ku obywatelstwu w wykładanemu w szkole przedmiotowi, o tyle olimpiada wiedzy o Polsce i świecie współczesnym jest imprezą masową, obejmującą i mającą na celu zainteresować jak najszersze kręgi młodego społeczeństwa, uzupełnić lukę, której jak dotąd, pomimo obowiązkowego przedmiotu z tego zakresu, nie potrafiła wypełnić szkoła. I okazuje się, że młodzież nie jest tak pusta, jak się często twierdzi. Ze przy odpowiednim podejściu ujawnia swoje poważniejsze (a cz jeszcze w zarodku) zainteresowania i że można te zainteresowania w niej rozwijać.

Olimpiada zorganizowana jest pomysłowo. Rodzaj znanej z radia „Zgadnij zagadki” z Przybylskim, Rokitą i „Niebiesko-czarnymi”. W to wszystko wplecione sprawy najistotniejsze.

Oto „odpowiednie podejście” — w

teorii. W praktyce — bywa różnie. Przynajmniej tam, gdzie obserwujemy eliminacje: w Lubartowie.

O stopniu zaangażowania widzów, a raczej współuczestników, wspomnieć już wyżej. Chwilami jednak odnosiło się wrażenie, że młoda publiczność jest trochę zawiadziona. Ho wojewódzka impreza, która odbywała się w powiatowym Lubartowie, impreza, na którą się czekało i która miała — przypuszczam — stanowić wyróżnienie dla miasta, dla środowiska, była w efekcie bardziej prowincjonalna, niż gdyby ją zorganizowano „na szczeblu powiatowym”, w jakimś najbardziej zacofanym powiecie województwa. I o to mam szereg pretensji do organizatorów. Przede wszystkim zapomniao o podstawowej sprawie: o tym, że młodzież słucha radia, ogląda telewizję, interesuje się jazzem, piosenką, big-beatem itp. itd. i że w związku z tym nie wpada już np. w zachwyt na widok akordeonisty-wirtuoza wygrywającego wianuszek tang i walczyków. Ze potrafi patrzeć krytycznie. Ze posiada swoje wyrobione gusty i upodobania. „Dlaczego nie przyjechali z Lublina „Bezimienni” (studencki zespół big-beatowy)? My tutaj zawsze ich z radością widzimy” — skarżył się jeden z miejscowych nauczycieli. Pomyślałem, że w Lublinie pod ręką był także np. wybijający się piosenkarz, student, Piotr Szczepanik, którego „Złote kalendarze” robią od kilku tygodni ogólnopolską karierę. Można też było postarać się o dobrego konferansjera, a na scenie... zapalił reflektory. Niestety, o niczym nie pomyślano, a najlepsze nawet chęci zupełnie początkujących amatorów nie uratują poziomu artystycznego. (Nie mam tutaj na myśli bardzo wdzięcznego zespołu lubelskich filipinek — „Sepetynek” — których występy, przy każdym pojawieniu się na scenie, wnosily miły nastrój).

Następna sprawa: nie bardzo rozumiejąc, dlaczego imprezę tego typu zlokalizowano właśnie w Lubartowie. Jeden z rozmówców odwiadczył mi zupełnie szczerze: „Właściwie to sam nie wiem”. Inny argumentował mniej więcej w sposób następujący: „Po pierwsze Lubartów jest „powiatem eksperymentalnym” — a więc: interesująca impreza szkolna dla miejscowej młodzieży szkolnej; po drugie: Lubartów leży w województwie najbardziej centralnie, stąd — najlepszy i najkrótszy dojazd ze wszystkich powiatów”. Nie wiem jednak, który aspekt był ważniejszy: eksperyment, czy kilometr? Co do mnie, to obojętnie zrobiłbym dziewczętom i chłopakom przyjemność i zawiódł ich do Lublina, a wieczorem zaprowadził do teatru. Albo bym ich zaprosił do jednego z miast o interesujących zabytkach (Zamość), lub obiektach przemysłowych (Puławy). Ktoś mi znowu na to odpowiadał, że w takim wypadku w ciągu jednego dnia nie wyczerpałoby się całego „programu”, a w poniedziałek młodzież musi przecież być w szkole! Ha, rzecz nie do odparcia...

Ostatnia sprawa, chyba najważniejsza, to problem samego konkursu, pytania, zagadnienia, regulaminu. Niestety, nie miałem możliwości dokładnego przedstawienia tematu, zabieram głos z pozycji widza. Regulamin konkursu i pytania opracowane zostały centralnie, dla całej Polski. Poziom bardzo wysoki, niekiedy wydaje się, że aż za wysoki, jak na możliwości 17-18-letniego chłopaka, czy dziewczynki z prowincji. Co dziwniejsze, zawodnicy dają sobie jednak z nim najczęstszą radę. Gorzej z tzw. pytaniami problemowymi. O ile uczeń z łatwością szermował liczbami, datami, nazwiskami, o tyle niżej z 9 osób, reprezentujących trzy najlepsze zespoły województwa, nie potrafił dać zadowalającej odpowiedzi na pytanie, co to jest np. Front Jedności Narodu i jakie są jego zadania. To chyba w dużej mierze wina smychnych nauczycieli. Samodzielne myślenie wciąż jest jeszcze w powijakach. Pewne zastrzeżenia może budzić również regulamin najeżony zakazami, nakazami, wymiarami czasu w sekundach, minutach itp. itd.

Znany dziennikarz zastanawia się, czy nad konkursem nie zaciążył jednak trochę szkarłatno: pytań było zbyt wiele, zbyt dokładnie jury egzaminowało zawodnika. Chwilami odnosiło się wrażenie, że uczestnik konkursu musiał naprawdę w pocie czoła „zapracować” na nagrodę. A przecież w olimpiadzie powinno być mimo wszystko więcej sportu i... zabawy.

Mirosław Derecki

Oczekiwanie na pociąg

Godzina 0.15. Odszedł ostatni wieczorny pociąg. Ci, którzy jeszcze nie pojechali, układają się do snu w poczekalni, a właściwie usiłują zasnąć rozłożeni na krzesłach i stołkach w koczach, kufajkach, kombinezonach, ubraniach z MHD i mundurach szeregowych. Najwięcej jednak ubrań chłopskich, których właściciele przyjechali „za sprawami do województwa”, a teraz brak miejsc w hotelach, lub po prostu z nieznośności usiłują przeczekać do rannego pociągu czy autobusu PKS. Cóż to jednak za sen, kiedy obawa o losy kuferka stojącego przy stole zmusza do częstego otwierania oczu, a liczne kontrole milicyjne potrafią na dobre wybić ze snu? Najgorsze przychodzi jednak około pierwszej, kiedy człowiek ułożył się już jako tako, zabezpieczony tobołki sznurkiem przywiązany do nogi, a tu budzi go okrzyk „wychodzić... sprzątać sali!”. Trzeba podnieść się razem z walizką i wynieść do hallu kasowego; bardziej zmęczeni, albo o większym doświadczeniu i tam znajdują jakiegoś legowisko, najlepiej pod kaloryferem. Nawet, kiedy po całej godzinie kolejarz wpuszcza z powrotem do poczekalni, nie wszyscy rezygnują z przyjemności ciepła w plecy, chociaż od posadzki ciągnie chłodem.

Godzina 2. W świetlicy pusto, bo spać tu nie wolno, nie wszyscy mają ochotę na książkę czy gazetę, kiedy oczy sklejone, szkoda, że telewizor już zgazono, patrzyenie na ekran nie wymaga przecież wysiłku. Ale w końcu ten i ów zdrzemnął się na chwilę i to w tym czasie, akurat koło drugiej, a to właśnie moment

kontroli biletów. Niska, w lubelskim koczusku i gumiakach na nogach nie nie rozumie, przecież przyjechała w nocy, nie zna nikogo, ma tylko adres lekarza, po co jej bilet, przecież przyjechała, a nie wyjeżdża, a tyle miejsc wolnych w świetlicy, usiąść nie można! „A przyjeżdża do mnie, to was zawsze przencuje, jak będzie miejsce... i nie straszta — mój też był komendantem!” Wychodzi w poczuciu krzywdy, jej naturalne poczucie prawa okazało się nieprzydatnym kompasem wobec Zarządzeń i Praw.

(Nie jeden to wypadek, kiedy przyjeżdżający w nocy zmuszony jest czekać do rana na stacji, a nie mając ważnego biletu wchodzi w konflikt w zarządzeniem, które pozbawia go przywileju pasażera. Ciekawe jednak, co taki eks-pasazer ma z sobą począć? Iść do Parku Ludowego?)

Podróżny lubi jeść i wypić, ta naturalna konieczność otrzymuje rangę rytuału wypełniającego czas oczekiwania i właśnie teraz, w nocy, najlepiej ją zrealizować, bo od jedynastej zdążył się już przerzedzić gęsty wianuszek postaci przy okrągłym bufecie, wielu wykupiło peronówki i siedzą legalnie w restauracji, gdzie całą noc sprzedaje się piwo — cel ich przyjazdu na dworzec.

Oczekiwanie na cokolwiek

Godzina 23 — 2.30. Przyjeżdżają z różnych krańców miasta, z knajp i kawiarni, aby poprawić piknięcie samopoczucie, lub chociaż je podtrzymać; nieomylny znak, że lubelska gastronomia zamknęła podwoje. Po

kilku regularnie powtarzanych wizytach budzą zainteresowanie milicji, ale żadnych pretensji nie można wobec nich zastosować, chyba w wypadku jakiejś awantury. Bardziej rytmowni unikają jednak poważniejszych rozróbek, co najwyżej rozszerzają niepomiernie „Polski słownik pijański”. To oni tworzą specyficzną atmosferę dworca, atmosferę czekania na cokolwiek — na chamski kawał, przegadano znajomości, okazuje piwo, niecodzienna sytuacja. Na szczęście, nie są tak liczni, aby zakłócić normalne funkcjonowanie dworca, ale wystarczająco aktywni, by normalnemu pasażerowi dać posmak niepotrzebnego chyba niepokoju; gorzej, gdy starszym towarzyszą dzieci.

Włóczą się po stacji, to znów „utrwalają się” piwem. Znany lubelski gitarzysta obok robotnika z fabryki odzieżowej, kilku studentów kolegieryjnie zamawiających „naste” piwo, starsi i dobrze ubrani panowie, którzy rozochocili się w jakiejś restauracji, a teraz ze łąz w oku wspominają nocne wędrowki młodoci. Lojalni wobec PKP i milicji, bo kupili peronówki; głośni i poufali, bo nie pierwszy raz spotykają się w tym gronie; coraz bardziej zmęczeni i wynoszący się po kolei do domu, bo i dziś nic nowego się nie zdarzyło, a i tak można wymyślić jakąkolwiek fabułę na użytek własnego poczucia wartości i dla kolegów. Ludzie różnych profesji, lecz w większości amatorzy alkoholu i tanich wrażeń, tak jak ten np. wysoki, krótko ostrzyżony, z wystającymi kośćmi policzkowymi, bełkoczący coś, że jeszcze wszystkim pokaże — człowiek znany niegdyś w sferach lubelskiej kultury.

(Dokończenie na str. 8)

(Dokończenie ze str. 1)

Uderzenie jest wszędź i wszędzie. Ale jeden miesiąc nie ma wyżyć swoich jedenastu braci w dziele tworzenia nowych obiektów i inicjatyw. Dni Oświaty, Książki i Prasy rzucają zasiew, który owocować ma po całym kraju szeregiem placówek i towarzystw, klubów dyskusyjnych i kursów rolniczych, czytelni i zespołów artystycznych. Dni mają zbliżyć do teatru, plastyki, muzyki, filmu, literatury pięknej i popularno-naukowej, mają pobudzić skłonność do podnoszenia wiedzy i kwalifikacji zawodowych. A także zwiększyć poczucie społecznej odpowiedzialności za sprawy upowszechniania kultury i oświaty na terenie każdego ludzkiego skupiska.

Ta coroczna fala energii i zapału nie przechodzi bez trwałych skutków. W województwie lubelskim oprócz 300 odczytów, 250 spotkań z literatami, naukowcami i aktorami, oprócz całego szeregu festynów, kiermaszy itp. imprez zorganizowanych w ubiegłorocznych Dniach Oświaty powstało szereg placówek wzbogacających na stałe materiał na bazę upowszechniania kultury. Dom Książki otworzył i nowe pawilony księgarskie, „Ruch” zorganizował 25 klubów książki i prasy, wydziały oświaty i kultury przysłały powiatowych rad narodowych powołały 4 kompleksowe ośrodki k-o, utworzone 10 ośrodków przyszłolubelskich, 3 świetlice wiejskie, 20 punktów bibliotecznych. Ze składek społecznych w powiecie Biłgorajskim zebrano 44 000 zł na zakup telewizorów. Nie luby majątek przyniosła fala Dni w województwach białostockim, kieleckim i rzeszowskim. Wszędzie, gdzie inicjatywy rodzą się nazywają wolno, albo nazbyt nieśmiało wychodzą przeciw trudnościom, jakich nie skąpi nam jeszcze życie codzienne, majowa ofensywa kulturalna wzmacnia pędy zamierzeń, nadaje prężności postanowieniom. Latwa jest skrzyknąć się, coś zbudować mając świeżo w pamięci poruszenie umysłów i wrażeń, jakiego dokonała „Błękitna niedziela”, a nawet skromniejszy w rozmiarach występ sąsiedniego zespołu.

W ten sposób Dni nie tylko wchodzi w barwną panoramę corocznie urządzanych imprez, nie tylko przelęgają przez kraj wiosennym polemce młodzieńcy i zabawy, ale stają się już niejako instytucją w upowszechnianiu kultury jedna z najważniejszych. Jako się rzekło, nie bez pomocy tej sojuszniczki, jaką mają w osobie wiosny.

Tak więc ten maj to więcej, niż miesiąc. Nie dziwne: słońce i ruch. Aż dwa czynniki wzrostu.

(Dokończenie ze str. 1)

mówić polityką. Wrócić więc posłusznie do „Mojego Piemka”.

A oto niepokój w domu: ojciec chowa w skrytce pod księgami lekarskimi jakieś broszury i książki: zakazane, a w mieście są rewizje. Co to znaczy, wytłumaczono mi na moje naleganie. Mówiono też, że policja ma na oku pana Filipowicza. Wysoki aptekarz bywał u nas częstym gościem, żona jego meczyła mnie przy lekcjach gry na fortepianie, ale co jej mąż zawinił? Kiedyś podsłuchałem, że to socjalista i że ukrywał u siebie jakiegoś skompromitowanego Rosjanina. Coraz mniej rozumiałem z tego wszystkiego.

Potem przyszedł piękny dzień jesienny. Rozpogodzone, uśmiechnięte twarze rodziców. Dlaczego taka radość na wszystkich obliczach w mieście? Jakis manifest? Jakaś konstytucja?

I teraz polityka zapanowała na dobre. Ojciec zaprenumerował nową gazetę, która świeżo zaczęła wychodzić. Pojawili się u nas trudne książki z niezrozumiałymi tytułami: „Rozwój ustroju państwowego na zachodzie”, to znów „Materializm dziejowy i teoria nadwartości”, albo „Prawo do lenistwa”. To ostatnie zainteresowało mnie bardzo, przegłębiałem książkę aby znaleźć w niej uzasadnienie, że mam prawo nie przygotować zadanych mi przez nauczycielkę lekcji, ale o tym nie było tam mowy. Wzbogacił się język rodziców, padały słowa: — encycy, pedecy, esdecy, pepesowcy. Nowe dla mnie utrapienie, bo wszystko chciałem zrozumieć. „To takie partie”, — powiedział ojciec — „to znaczy grupy ludzi, którzy dają wspólnie do jakiegoś celu w polityce”. Od jakiego celu? Czym się różni? „Ach, daj mu spokój!” — oburzyła się matka — „ma jeszcze czas na to wszystko”.

Na ostatnie imieniem dostawałem od znajomych książki — za trudną dla mnie, jak twierdził rodzice. Był to „Galernik” — przeróbka dla młodzieży „Nędzników” Hugo. Nie miałem odwagi zabrać się do niej. Ale kiedyś przerzucając kartki, zaciekawiony jakimś miejscem, zacząłem czytać od środka i wtedy zawarłem znajomość z wesołym ulicznikiem Gavroche'm. Sledziłem perypetie sympatycznego łobuza, a walki na barykadzie kawały mi

zapomnieć o całym moim otoczeniu. Ależ to bohater. Tak sobie drwił ze śmierci w obliczu niebezpieczeństwa wyróżniał ładownicze zabitych gwardystów i śpiewał wśród gwizdających kul. Ale gdy padł rażony ostatnią, urywając słowa piosenki, lzy pociekły mi po twarzy. Biedny Gavroche'u, już nigdy jej nie dokończysz!

Aż nastąpiła piękna wiosna. Słonecznie rozpoczął się pierwszy dzień majowy. Ojciec tego dnia, nie wiadomo z jakich powodów, nie pozwolił mamie wyjść z mną na popołudniową przechadzkę. „I tak wszystko zobaczymy z balkonu”, powiedział: „będą przechodzić naszą ulicą”. Umierałem z ciekawości, jakie to będzie widowisko. Aż oto koło godziny jedenastej doszedł moich uszu z dala chóralny śpiew. Byliśmy wszyscy troje na balkonie. Przechodnie przystawali na trotuarach i trwonię rozglądali się po bokach. Ukazały się pierwsze kolumny maszerujących. Robotnicy! Oni! Nasi żołnierze! Dumnym krokiem szli teraz w milczeniu, na przód przed siebie, jakby zapatrzeni w cel coraz bliższy ich oczom. Nie było ich dużo, może setka zaledwie, bo miasto nasze miało tylko jedną małą fabryczkę. Wąsaty robotnik ze szpakowatymi włosami dźwigał w ręce drzewce sztandaru, a czerwone płótno powiewało w podmuchach wiatru. Obok chorążego kroczył zapewne syn jego, trzynastoletni może chłopiec, i podnosząc co chwila dłoń do góry dotykał trzepoczącej czerwieni, jakby w ten sposób pragnął zaznaczyć, że i na niego spływa część zaszczytu jaki przypadł jego ojcu. Nagle zakotłowało się na chodniku. Ktoś krzyknął: „Policja!” Przechodnie w poplochu kryli się w bramach. A stary robotnik wznosił wyżej sztandar, którego rozwiane skrzydło zdawało się opiekuńczo osłaniać jego głowę i z ust tłumy wyrwały się słowa pieśni: „Na barykadzie, ludu robotczy”. Na barykadzie. Tak jak w „Galerniku”. I ten chłopiec to przecież Gavroche. Krzyknąłem: „Ratujcie Gavroche'a!”.

Potem już wszystko potoczyło się jak we śnie. Huknęły strzały, rodzice wciągnęli mnie gwałtem do pokoju, usłyszałem rwące się słowa pieśni,

tupot nóg biegnących po jezdni, znova strzały, płacz matki...

Kazimierz Andrzej Jaworski

(Fragment przygotowywany dla Wydawnictwa Lubelskiego wspomnień pt. „Wywoływanie duchów”).

STEFAN CANEW

Poezja

Poezja to nie lek, co ból oddali, ani to nie jest słodycz żadna (do tego celu jest cyjankali i lemoniada).

Poezja — nie odpoczynek codzienny, ani zabawa słowami. Liminal to środek nasenny — nie usypiajcie wierszami.

Poezja to jest nasz budzik, który rozbudza uczucia, zanim jutrenkę widzisz. Z nią w sercu wcześniej się zakochasz.

lub wcześniej zniecierliwiesz. Poezja to nieoczekiwany donos przed sumentem twe o twej nieuczuciowości. Sądem jest poezja, katem jest, a ostry rym jest strzałem w twoje serce prosto.

Nie chcę pisać usypiających pieśni —

wolę być natrętną muchą brzęcząca, która mimo wszystko was zbudzi, byście urzeli wschód słońca.

Bo słońce jest poezją a poezja jest słońcem ogromnym. To jest dwoje jasnych oczu człowieka, bez których by został na wieki niewidomy.

Tłumaczył z bułgarskiego

Tadeusz Ross

NOC na dworcu

(Dokończenie ze str. 7)

Dla wielu z nich przygodny znajomy przeistacza się w księdza wysłuchującego pijackich spowiedzi, udzielającego rozgrzeszenia „od zaraz”, bez pokuty, tylko za cenę dużego piwka...

(Ograniczenie sprzedaży piwa w godzinach nocnych także w restauracji pozabawiloby, być może, stację silnego magnesu przyciągającego ich co noc, chociaż kto wie, czy sama stacja nie jest dla tej gromady wystarczająco atrakcyjną ucieczką od nudny codzienności, której nie mogą wypełnić wartościami spoza kręgu zakreślonego rzędem kufli?!).

Oczekiwanie na klienta

Godzina 2.30. Piwo przyciąga mężczyzn, pijani są celem takich właśnie „panienek”, jak ta skromnie siedząca przy wejściu do restauracji. Należy do ostatniej chyba kategorii swojego „zawodu”, brzydka, nędznie ubrana, a przede wszystkim zniszczona w sposób, który uniemożliwia określenie jej wieku. Krótkimi lykami pociągają piwo zafundowane jej przez klienta, nieobecne do dobrej już chwili. Pospierała w torbie i wyjmując niewielką książeczkę, cienką broszurę w białej okładce zadrukowaną brązowym napisem „Ewangelia św. Mateusza”, wydaną w

Londynie. Kartkuje, zwiłża swoją wiarę następnym piwkiem i spod oka obserwuje milicjanta, który wszedł przed chwilą do restauracji. Nie pomógł zapewnienia o zgubionych bilecie i widomy dowód chrześcijańskiej moralności leżący na stole — stąd także wyrzucili. Idzie więc na peron, ogląda się, czy nie jest śledzona. Jeszcze jedno chwilowe schronienie znalazła w kantorku dziadka w 00. Około piętej nad ranem znów można ją było zobaczyć wtuloną w ciepło restauracyjnego fotela.

(Jednak prostytutki dość rzadko odwiedzają dworzec, zazwyczaj, kiedy z takich lub innych przyczyn nie mają gdzie nocować; pamiętają wiadać zdecydowaną postawę milicji dworcowej. Niektóre tylko krązą wokół stacji: m. in. matka z córką najwyżej siedemnastoletnią, obie brudne i obszarpane, klnące i chichoczące na przemian).

Oczekiwanie na poranek

Godzina 3. Tegdy i czerstwy na twarzy drzemie pod oknem sali przed restauracją, czasami na moment otwiera oko, szybko sprawdza sytuację i dalej czeka. Kilka razy budzi się z „głębokiego snu”, jest w miarę oburzony i zaskoczony, pyta o godzinę, choć zegar na ścianie

jest wyraźnie widoczny. Potem mówi, że przyjechał do szpitala do pana profesora. „On adunktem jest, Wierzbicki się nazywa” — wyjaśnia i na żądanie wyjmuje garść papierków, troskliwie sprawdza napisy i podaje jeden z nich milicjantowi. „Przecież tu inne nazwisko?” „A tak, tak, przecie że inne, bo w szpitalu lekarzy jest dużo, ho, ho, jak dużo, czasami trudno się poapać, do którego iść...”, „Co wy będziecie gadać, widzę was już szóstą chyba noc w ciągu dwóch tygodni!” — milicjant traci cierpliwość. „Mnie?! Obywatel kapral się myli, ja przyjeżdżam do pana adunkta raz na miesiąc, człowiek choruje...” — wymownym gestem pokazuje na stopy w ortopedycznym obuwiu, przyciąga leżące obok bule. „Chorzy jesteście, nie wstyd wam wykorzystywać swoje kalectwo, nie lepiej do opieki społecznej, albo do domu starców!” Milczy i po raz pierwszy widąc na jego twarzy przestrach.

Nie on jeden na dźwięk nazw tych instytucji przybera niemal wrogą postawę, choć wiadomo, że tylko dzięki pomocy z opieki społecznej jakoś egzystują. Może przekładają to drobnie pozorując w kofcu swobody, z jej całą nędzą, niepewnością jutra i ciągłym upokorzeniem nad minimum pewnością i wygody zamkniętego w kofcu domu. Tej nocy spalo na stacji w szesściu, z różnych przyczyn pozabawionych stałego pomieszczenia, jeden stary i niedołężny, wyrzucony z domu przez córkę, inny — ofiara transakcji mieszkaniowej dla niego nieudanej i jeszcze jeden — po prostu włóczęga, żyjący dzięki zebraniu dorzucanej do aktywnych drobnych kradzieży, opuszczony przez sprytniejszych kolegów po fachu, szukający chwili wytchnienia już tylko na stacji. Wegetują poza nawiasem życia spo-

leczno rzadko jako jego ofiary, a najczęściej jako ludzkie konsekwencje nalogu, mitów łatwego zarobku, własnej nieuczuciowości.

Zbliża się godzina 5.08 i wraz z przyjazdem „krakowskiego” dworca rozpoczyna swoje normalne życie.

Oczekiwanie na pointę

Tak wygląda obraz nocnego dworca w oczach reportera, który spędził na nim kilka nocy, nim odważył się zrekonstruować swoje wrażenia. Celowo nie pisałem o ludziach pracujących na dworcu, o służbie kolejowej, dyżurnych ruchu, kasjerkach, bileterach, sprzedawczykach; tylko mimochodem wspominałem o funkcjonariuszach Milicji Obywatelskiej, również ciężko pracujących, stawianych między wyborem użycia pałki, a słowem.

W ciągu doby przez lubelski dworzec przewija się 35 tysięcy podróży, w znacznej większości z małych miasteczek lub wiosek. Pozostaje reszta. Jaka? Dwustu, czterysty?! Trudno określić. Jakiegoś rodzaju zastosować, aby zmniejszyć tę liczbę? W określonych godzinach zabronić całkowicie sprzedaży piwa na dworcu, to pewne. Ale jednocześnie nie ludzi się, że rozwiąże to sprawę do końca: dworce zawsze i wszędzie przyciągają ludzi określonego pokroju, bo obiecują przygodę, nie najwyższej klasy, ale trochę inną od codziennej. Istotą dworca jest ruch, zmienność.

Wydaje mi się przy tym, że pisząc o tych wszystkich umyślnych sprawach, tym wyraźniej podkreślałem wartość wysiłku ludzi, którym zależy, aby dworzec był tylko dworcem.

Ireneusz J. Kamiński

T E A T R i m i o d z i e ż

Do Redakcji „Kamery”

Artykuł „Teatrowi może pomóc tylko teatr”, zamieszczony w 5 numerze „Kamery” bardzo nas zainteresował, dlatego też jedną z lekcji języka polskiego poświęciliśmy dyskusji na ten temat. Po zebraniu naszych spostrzeżeń i wniosków odważamy się przesłać kilka wypowiedzi. Jednocześnie chcieliśmy zaznaczyć, że dyskusję prowadził mgr Janusz Plisiecki.

Uczennice Technikum Chemicznego nr 1 w Lublinie

Groźni konkurenci

Moim skromnym zdaniem odpływ widzów nie zależy tylko od samego teatru: groźnym konkurentem tej placówki kulturalnej jest kino i telewizja. Wiele głośniejszych i ciekawych filmów sprowadza się z zagranicy, na pewno nie jest to korzystne dla teatru, tym bardziej, że bilety do kina są tańsze.

Wielu teatromanów zabiera również telewizja, gdyż teatr telewizyjny wystawia szereg ciekawych pozycji. Poza tym widzowie telewizji oglądają często znanych, wybitnych aktorów, co też ma niebagatelne znaczenie. Myślę, że gdyby teatr lubelski sprowadzał (nawet na kilka dni) znanych aktorów i obsadzał nimi jakieś role, frekwencja mogłaby się zwiększyć.

Duży wpływ na zbliżenie widza do teatru ma odpowiednia reklama oraz spotkania aktorów i reżyserów z widzami.

Więcej recenzji, a może nawet nie recenzji, ale artykułów o teatrze, powinna zamieszczać prasa codzienna. Sądzę, że należałoby też rozszerzyć propagandę w szkole, przetrzymać więcej lekcji na dyskusje teatralne. Przecież młodzież szkolna stanowi sporą część społeczeństwa.

A. Rybka
klasa III b

Zacznijmy od podstaw

... Dużo pisze się o tym, że młodzież często nie rozumie wystawianych sztuk. Chodzi nam o to, aby teatr stał się niezbędnym dla człowieka, podobnie jak czytanie książek, śledzenie „co nowego” w prasie. Ale czytanie rozpoczynaliśmy od abecadła i nauki czytania uśrednił nam po prostu w krew. Dlaczego więc nie można by rozpocząć studiowania teatru właśnie od podstaw? Rzecz zrozumiała, że nie chcemy, aby każda sztuka mówiła o tym, że to jest „a” a tamto „b”. Stopniowanie trudności w odbiorze sztuki powinno doprowadzić do tego, że będziemy mogli powiedzieć: „jesteśmy wyrobieni teatralnie”.

Mamy jeszcze jedną prośbę do dyrekcji teatru: aby nie sprzedawała biletów na jeden spektakl wielu szkołom. Takie „spedy” młodzieży tylko utrudniają odbieranie sztuki. Kultury teatralnej musimy (niestety) uczyć się od podstaw. Nagromadzenie młodzieży na jednym spektaklu wcale tego nie ułatwia.

Elżbieta Zasiowicz
klasa I e

Jedna „Ania” to za mało

... Artykuł p. Haliny Chabros bardzo nas zainteresował. W pełni zgadzamy się ze stwierdzeniem, że przyczyn niedociągnięć należy szukać w samym teatrze.

Przeciętny lublinianin raczej rzadko chodzi do teatru, a jeśli już chodzi, woli sztuki lekkie i takie też cieszą się większym powodzeniem. Rzecz zrozumiała, że dobra obsada przyciąga więcej widzów. Niestety, w ciągu ostatnich lat teatr lubelski opuściło wielu znanych i lubianych aktorów (Szmigelówna, Machulski, Mikulski). Rzecz zrozumiała, że nie można ich za to winić, gdyż tam, gdzie obecnie pracują mają większe szanse zdobycia popularności (film, telewizja, sceny warszawskie).

Nawiązując do lubelskich widzów chcieliśmy wspomnieć o młodzieży. Trzeba przyznać, że niezbyt często uczęszcza ona do teatru, gdyż za mało jest sztuk młodzieżowych. Jeśli młodzież już idzie na spektakl, dzieje się tak wówczas, gdy grane są sztuki klasyczne będące przeważnie lekturą szkolną.

Ubiegły sezon przyniósł zaledwie jedną pozycję młodzieżową. Była nią „Ania z Zielonego Wzgórza”.

Nie można się dziwić, że młodzież, nie znajdując dla siebie odpowiednich przedstawień,



Fot. Stefan Cieślak

mając do wyboru teatr i kino, wybiera to ostatnie. Na ekranie znajdujemy samych siebie oraz odpowiedzi na nurtujące nas problemy.

Anna Łozowska
Bogusława Krystyniak
Barbara Przytocka
Alina Combrzyńska
klasa III a

Główna przyczyna

... Długo zastanawialiśmy się nad przyczyną małej frekwencji widza w teatrze. Doszliśmy do wniosku, że jedną z głównych przyczyn jest nieodpowiednie opracowanie repertuaru. Za-uważaliśmy, że jeżeli jest dobra sztuka, wystawia się ją dotąd, aż frekwencja spadnie do minimum. Po pewnym jednak czasie to samo przedstawienie znowu „wchodzi” na scenę. To prawda, że na przykład „Ania z Zielonego Wzgórza” cieszy się dużym powodzeniem wśród młodzieży i starszych, ale wcale nie znaczy to, że sztukę tę trzeba wystawiać parę razy do roku.

Alicja Tracz
klasa III b

Więcej spotkań z aktorami

... Każda z nas, a przynajmniej przynajmniej większość, ogląda wszystkie wystawiane sztuki. Po obejrzeniu spektaklu dochodzimy jednak często do wniosku, że nie byliśmy należycie przygotowani do odbioru danej pozycji. W naszym wypadku niezrozumienie pewnych spraw można tłumaczyć tym, że jesteśmy jeszcze uczennicami i pedagogzy dopiero nas uczą poprawnego rozumowania i właściwego odbioru sztuki. Teatr powinien w tym również pomagać. Słyszysz się jednak głosy i osób starszych, które rozumują podobnie.

Kilka słów o repertuarze. Uważamy, że sztuki klasyczne powinny się równoważyć ze sztukami współczesnymi. Dobrze, że kierownictwo teatru wzięło pod uwagę sztuki przeznaczone dla samej młodzieży. Jest to jeszcze jeden krok na drodze zbliżenia widza do teatru, a także wychowania przyszłego odbiorcy. Kultury przyszłego widza można wcześniej osiągnąć poprzez popularyzację teatru wśród młodzieży.

Mamy żal do samych aktorów. Różnica, ja-

ka zarysowuje się pomiędzy sposobem gry na spektaklach dla osób dorosłych, a na spektaklach dla młodzieży jest kolosalna. Bardzo prosilibyśmy, aby tych różnic nie było.

Ktoś, kogo teatr nie potrafił raz zainteresować, nie szybko wybierze się doń po raz drugi.

Na zakończenie prosilibyśmy o więcej spotkań z aktorami i reżyserami teatru; pozwól to nam na bliższe poznanie ich pracy i ich problemów.

Grażyna Gibuła
Anna Sokółów
Barbara Bobrowska
kl. III b

Czy same usterki?

... Naszym skromnym zdaniem chyba lepiej zaplanować mniej sztuk i wykonać je solidnie, niż potem „mydląc” widzom oczy białostkami w celu „nadrobienia planu”.

Nasz teatr nie wystawił żadnej sztuki radzieckiej, ani rosyjskiej, choć miał przecież brać udział w Festiwalu Sztuk Radzieckich. Stanowczo za mało było spotkań z aktorami. Czy jednak — wracając do artykułu red. H. Chabros — można stwierdzić, że stanowisko autorki jest zupełnie obiektywne? My, młodzież, która nie zalicza się ani do krytyków, ani do ludzi teatru, patrzymy na te sprawy może jeszcze niedojrzałym, ale obiektywnym okiem. Czy w teatrze naszym są tylko same usterki? Nie zapominajmy, że mimo wszystkich niedociągnięć nasz teatr zajął trzecie miejsce na festiwalu sztuk telewizyjnych! Widzimy więc, że i sukcesy można zapisywać na kartę naszego teatru.

Wydaje się, że nasz artykuł nie jest może na wysokim poziomie, ale naszym marzeniem było wzięcie udziału w polemice na łamach „Kamery”.

Halina Nowacka
Elżbieta Hejna
klasa III b

W następnym numerze głos w dyskusji zabierze ANDRZEJ HAUSBRANDT, którego rozważania w „Polityce” stały się punktem wyjścia artykułu Haliny Chabros iniejującego na łamach „Kamery” dyskusję o teatrze.

Kamelie z herbarza

PRZEZ długie lata, a raczej stulecia, żywot głośnej kurtyzany interesował ludzi pióra li tylko dla pikantnej przygód swawolnych. Nowością tedy była na początku XVIII w. powieść księdza Prévosta, który rozczulał czytelników smutnym losem płożej Manon Lescaut. Już nie dziewiczy temat podejmuje sto lat później, jako romantyk — piewca wielkich namietności, Wiktor Hugo w swej „Marion Delorme” (zasługującej może na wznowienie chociażby ze względu na nieśmiertelny portret młodości władcy). A zatem Dumas przyszedł w r. 1848 ze swoją „Dama kamelową” na grunt od dawna uprawiany. I ambicje jego nie sięgały zbyt wysoko. Wykonywał niejako zamówienie mieszczańskiego klienta, żadnego łatwych wzruszeń melodramatycznych. Aby go zadowolić jeszcze bardziej, przerabiał niebawem powieść na dramat. Mierna sztuka uzyskała bezkonkurencyjną powodzenie — takie to były czasy. Wprawdzie ten sam żargon uprawiał w teatrze Emil Augier, ale Augier miał na celu „zdrowie moralne rodziny”, a uczynienie z tematu problemu jakoś nie odpowiadało ówczesnej publiczności. Doraźny sukces pozostawał więc przy Dumasi.

Tymczasem właśnie do „społecznego” ujęcia tematu należała przyszłość. Zajmie się nim z pasją Gabriela Zapolska, w ogóle niejedyn wybitny pisarz — nawet sam Tolstoj — poświęcił mu uwagę, sondując głęboko podłoże moralne zjawiska. I trzeba wyraźnie stwierdzić, że dziś również, po drugiej wojnie światowej, problem prostytucji, zawodowej i „ochotniczej”, jest nadal aktualny. Tylko wymaga z gruntu nowego naświetlenia.

Układanie repertuarowej repertuarowej bez wszechstronnej znajomości warunków, w jakich pracuje dany teatr, jest zuchwałym nonsensem. Natomiast każdy kulturalny widz obyty kokwitek z życiem sceny może ocenić przydatność tej lub innej zrealizowanej pozycji. Dostrzeże tedy niewątpliwie irracjonalność wystawienia dumasowskiej „Damy kamelowej” w r. 1965, w mieście uniwersyteckim, przez teatr dysponujący przeważnie młodymi aktorami.

Sztuka Dumasa była absolutnie i beznadziejnie przestarzała już w r. 1925, kiedy ją tłumaczył Boy-Zeleński na życzenie dyrekcji Teatru Polskiego.

Cechy obyczajowe, które tworzyły jej konflikt, nie wiązały się z międzywojennym układem stosunków społecznych. Cóż dopiero z obecnymi!

Nie zwietrział temat, lecz zwiotczało ujęcie tematu. Zmurszały konwencje i argumenty. Niech nam zastąpi analizę jeden krótki cytat: „Jezus mówił do Magdaleny — będzie ci wiele przebaczone, boś miłowała wiele... Dlaczegożbyśmy mieli być surowszymi od Chrystusa? Dlaczegożbyśmy mieli odtrącać dusze krwawiące, pełne ran, przez które częstokroć, jak u chorego zła krew, wypływa zło ich przeszłości i które czekają przyjaźni ręki mogącej ozdrowić serce?” Wystarczy? Wyznaje lojalnie, iż tekst ów został wyjęty z powieści, co kiedy dialog dramatu nie grzeszy większą atrakcyjnością. Aż dziw człowiekowi, że Boy, mistrz przekładu, nie pozwolił sobie na dodanie ubogiemu tworzywu jedności i dowcipu. Bo przede wszystkim dialog „Damy kamelowej” jest nieodparcie nasenny. A zresztą, z kim ma go prowadzić jedyna żywa postać — Malgorzata? „Dama kamelową” to sztuka dla wielkich, doświadczonych aktorów, którzy nie wzdrgają się przed „krecjonizmem” scenicznym.

Jest rzeczą pożałowania godną, że znakomity reżyser, Stanisław Miłski, musiał poświęcić swój cenny trud na inscenizację utworu tak dalece archaicznego. Zrobił co było możliwe ustalając mocno rolę Malgorzaty, która, dzięki doświadczeniu reżysera i talentowi Jolanty Bohdal, wypadła prawdziwie i nawet wzrusza w V akcie. Mniej szczęśliwe wyniki uzyskał zdolny aktor Zbigniew Sztejman bledząc się z anemiczną postacią Armanda. Pozostali artyści (Janusz Cywiński, Cezary Chrapkiewicz, Witold Zarzeczka, Włodzimierz Figura, Jerzy Filio, Maciej Polak, Stanisław Stojko, Joanna Blesada, Wanda Węslaw, Jadwiga Janczewska, Ludwina Nowicka) spełniali obowiązek zapewne nie sprawiający im satysfakcji. Dekoracje Jerzego Toronczyka są poprawne w swym lakonicznie (tylko suknie dam — „szalowe”).

I jednak frekwencja bez wątpienia dopisze. Tym gorzej. Nie brak przecież innych sztuk równie kasowych a nie pozbawionych odrobiny dydaktyzmu.



Włodzimierz Hess: z cyklu „Okupacja”

(metal, drewno)

Fot. A. Polakowski

W podziemiach i na Zamku

NA wystawie w klubie Zamek pokazano tylko część twórczości Włodzimierza Hessa; reszta pozostała w podziemiach kościoła na Czeczowie, gdzie artysta pracuje i... mieszka. Trzeba przyznać, że ta „reszta” bardziej pasuje do wilgotnego i ponurego pomieszczenia wypełnionego drewnianymi rzezbami, stosami książek i czasopism, leżących pod ścianami obwieszonymi metalowymi twarzami i blaszanymi obrazami, z których spływają twardo lzy. Ponura piwnica, ponure i dramatyczne treści zawarte

w ekspresyjnych rzeźbach, skończonych, pełnych i wstrząsających.

Obsesyjna tematyka śmierci, wojny i lat okupacji jest przyczyną powstania wielu dzieł plastyki, lecz, niestety często były to produkty pozbawione autentyzmu, szczerości, robione na wystawę lub na zamówienie. Nikt nie zamawiał u Hessa „Molocha”; artysta uznawany do dziś za amatora nie myślał o wystawie, kiedy w ciągu dwu i pół lat wycinał, spawał, młótem wydobylał tragiczną i okrutną symbolikę faszyzmu, aż powstała żelazna rzeźba ponad metrowej wysokości. Treść, symbolika, powieść z nieufnością: „Literatura w żelazie”, ale byłoby to odmówieniem surrealizmowi wartości plastycznych, twórczych. Bo właśnie w niektórych rzeźbach Hessa można odnaleźć koncepcje charakterystyczne dla nadrealizmu, obok symbolicznego ekspresjonizmu (cykle „Okupacja”, „Alegorie przeciwwojenne”). Przyglądając się dziełom artysty dostrzegamy zarazem, że czysta, pozbawiona akademickich kanonów wyobraźnia materializowała się w formach znanych ze sztuki ludowej, „naiwnej”, a w innych wypadkach — z romańskiej. To „nawiązanie” do twórczości opartej na bezpośrednio odczuwaniu i wyrażaniu, nie wychodził artystę na złość, raz jeszcze przekonuje, że mamy tu do czynienia ze sztuką nie tylko impulsywną, ale i oryginalną i głęboko przeżyta.

Trzeba jednak z czegoś żyć, i dlatego Hess zajmuje się także metaloplastyką i rzeźbą dekoracyjną w drzewie, którą właśnie pokazano na „Zamku”. Pierwszą twórczość, która wytworona w swej pracowni, ciekawa przez różnorodność form. Medale — „monety” bezładnie czyszczone

(Dokończenie na str. 11)

Kłeska ołowianych żołnierzy

(Dokończenie ze str. 4)

Oprzymiotniałem. Popatrzyłem na ulana myśląc: bij, tni przez łeb, biały ulanie, zabij tego w podkutyh butach, niech przestanie się śmiać, niech zginie!

Ulan nie ruszył się z miejsca; stchórzyl.

Dziadek otworzył oczy, spojrzal na tamtych. Chciał wstać, ale nie miał na tyle sił, aby to zrobić. Powoli uniósł się na łokciach, zacerpnął powietrza. — Nie mów nic! — powiedziała ciotka, lecz było już za późno. Dziadek zdążył powiedzieć. Powiedział tylko jedno słowo: świnie.

Ręka tamtego zawisnęła w powietrzu, zatrzymała się na chwile, zneruchomiała, potem dotknęła skózanego pasa, chwyciła za pistolet. Ciotka zasłoniła oczy.

Całkiem niepotrzebnie to zrobiła, ponieważ nie się stało. Ręka tamtego wróciła z powrotem do suzady, w której czegoś szukała. Nie strzelił. Uśmiechnął się jedynie i kopnął stół. Pospadali na podłogę ołowianych żołnierzy, połamali szable. Stół runął na dziadka, przygniół go swoim ciężarem. Chciałem coś uczynić. Wiedziałem, że muszę coś uczynić. Chciałem krzyknąć: przebudź się ulanie, zabij!...

Nie nie krzyknąłem. Głos nie wydarł się z moich ust, chociaż poruszałem wargami. Moje wargi były bezgłośnie, jak podczas odmawiania modlitwy. Nie umiałem nic powiedzieć, nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. I milczałem, sam nie wiem dlaczego. Może to był po prostu strach; może przeraziła mnie własna beznadziejność i beznadziejność ołowianych żołnierzy, którzy leżeli pokotem na ziemi, byli zabici — przegrani — i nie już nie mogli mi pomóc.

Adam J. Bien

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Teatr im. A. Węgierki wystawił sztukę angielskiego pisarza Noertha Thomasa „Pułapka na samotnego mężczyźnię”.

◆ W ramach przyjacielskiej wymiany po sesji egzaminacyjnej 23 studentów AM wyjeżdża do Grodna, a 23 studentów tamtejszego Instytutu aenayncy zwiędzi Białostoczczyznę.

◆ PDK w Suwałkach zorganizował patronat młodzieży szkolnej nad zakładem specjalnym dla przewlekle chorych. Młodzież prześciga się w pomocy i wykonaniu różnych imprez oświatowo-kulturalnych.

◆ Autokary „Gromady” w I kwartale br. przewiozły 368 uczniów z województwa do teatru białostockiego. Bravo!

◆ W Białymstoku Klub Siedmiu łącznie z orkiestrą symfoniczną organizuje dwa cykle imprez, cieszących się dużym powodzeniem. Pierwszy to „Miałostkie wieczory muzyczne”, na których prezentuje się dorodne miejscowych kompozytorów, muzyków, artystów i poetów. Drugi cykl — muzyczno-rozrywkowo-laneczne spotkania przy kawie.

KIELCE

◆ Prowadzony przez ZMS ośrodek kultury „Wiedza” wystartował znakomicie. Oto program I etapu: spotkanie z Marianem Folklem, finał olimpiady „Polska i świat współczesny” wraz z występami zespołu artystycznego, spektakl Teatru Bielskaczka i Akora, Bielska literacka z turniejem poetyckim.

◆ 9 maja otwarta zostanie w Hodo-miu dwudziesta ogólnopolska wystawa plastyki. Objemnie ona 185 prac malarskich, 114 graficznych i 55 rzeźb. Każdy plastyk radomski wystawi przynajmniej jedną pracę.

◆ Również i w prasie kieleckiej (podobnie jak lubelskiej) rozgorzała dyskusja na temat kryzysu repertuarowego i artystycznego teatru.

◆ Wzgórze zamkowe w Kielcach szych-gład. Nawet historyczne źródła Biryty doczekało się odnowienia.

◆ Zespół do spraw kultury przy KM PZPR, komisja kultury MKN i rada klubów w Kielcach po raz pierwszy opracowały wspólnie program działań dla wszystkich placówek kultural-

nych, podlegających różnym instytucjom i organizacjom.

◆ Po długich perypetyjach budowa domu kultury w Szczekocinie, pow. Włoszowa, zbliża się do szczęśliwego końca. CRZZ oraz Prezydium WRN objęły dotacje na dokończenie robot, zaczętych społecznie.

LUBLIN

◆ Lubelska Filharmonia bieżnie obchodziła w maju dwudziestolecie istnienia. Z tej okazji 10 rządków pracy lub instytucji objęło patronat nad koncertami jubileuszowymi. Ony to był początek stałej współpracy, jak to zapowiada obie strony!

◆ W dniach 5-16 maja odbędzie się tydzień folkloru i festiwal enorów i południowych powiatów województwa; bilgorajskiego, janowskiego, tomaszowskiego i zamostkiego.

◆ W województwie istnieją w tej chwili 21 rezerwatów przyrody, obejmujących 1,3 tys. ha. Naukowcy wystąpili o utworzenie 3 dalszych o powierzchni 439 ha.

◆ rąjski z woj. lubelskiego i lubaczowski z rzeszowskiego nawiązały współpracę kulturalną. PDK z siogora'a wystawił w Lubaczowie „Panne małoczeską”, lubaczowianie zrewanzowali się „Słobami panienskimi”.

RZESZÓW

◆ Krakowski Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne wydało, w wyniku współpracy z WKKEiF w Rzeszowie, piękny album „Ziemia Krosińska”. Jest to trzeci album z tego cyklu — po „Ziemi Przemyskiej” i „Ziemi Rzeszowskiej”. W przygotowaniu jest już czwarty — „Rzeszów”.

◆ W klubie przedsiębierstwa Hydrobudowa w Sulejówce otwarto wystawę 33 prac malarskich, poświęconych budowie zapory i pracującym tam ludziom. Obrazy powstały w czasie dwutygodniowych stypendiów dla artystów, ufundowanych na miejscu przez Hydrobudowę.

◆ W muzeum okręgowym w Kroszowie niezwykłe dużym zainteresowaniem cieszy się dostarczona przez muzeum lubelskie wystawa „Paw w 22 lipca — 31 grudnia 1941 r”. Wystawa obejmuje również dokumenty z uzjęw powstawania lubelskiej WRN.



Włodzimierz Hess

W podziemiach i na Zamku

(Dokończenie ze str. 10)

ne, równie misternie wykonane naszyjki i orszaki, nieraz regularnie w kształcie talerze metalowe z symbolami słońca, ryby czy trójzębia, to już więcej, niż zwykła dekoracja. Jak mało kto zna Hess tworzywo, twarde, ale przecież całkowicie uległe dioni twórcy. Równie swobodnie pracuje w drzewie (przy pomocy precyzyjnie przystosowanej przez siebie wiertarki dentystycznej), czego dowodem prosty i skuteczny relief o rytmicznych i falistych pasach ułożonych wzdłuż deski, które przypominają zniszczone przez wiatr i plasek płaskorzeźby Bliskiego Wschodu.

Najciekawsze, że pomiędzy tym, co zostało w kościelnym podziemiu, a pracami z Zamku istnieje ścisły związek formalny, a nawet treściowy. Wszędzie spotykamy tę samą prostotę i celowość formy wyrażającej treści sprawnej, lub barziej odległych w czasie. I czy to będzie piękna w swojej dekoracyjności metalowa maska, czy ekspresyj-



Fot. A. Polakowski

na alegoria hitlerizmu — zawsze udzieli się nam wrażenie niepokoju. Mówią, że Hess jest amatorem. A jeżeli amator tworzy rzeczy pełne w swym artystycznym wyrazie, to może jest on artystą?!

I. J. K.

Muza chełmska czyli powrót do Itaki

NIEZWYKŁA to książka. Użyty przymiotnik ma tu wszakże różne odcienie znaczeń. Niezwykła — znaczy tyle, co rzadka; bo nie spotyka się jej w obiegu księgarskim: już w chwili ukazania się jest pozycja niedostępna. Niecodzienną „Wierszy poetów chełmskich” i w tym się zawiera, że są one owocem wysiłku środowiska dalekiego od uznanych centrów kulturalnych, środowiska, które samo dla siebie było kiedyś — owym centrum. Przecież w Chełmie w 1933 roku powstał za sprawą Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego miesięcznik poetycki „Kamena”, który był ogólnopolską trybuną poetów. Poprowadzali „Kamena” pisma i jednolite młodzieży Seminarium Nauczycielskiego, gdzie pod duchowym patronatem KAJ-a wyrastali młodzi, „dolni poeci”. Istniała grupa poetycka „Przymaty”, wkrótce pojawiły się samodzielne publikacje poetyckie młodych autorów — Szczawieja, Kasperskiego, Mrozowskiego, Popowskiego, Twardzika, Iwanika...

Ale dla powodów przedstawionych na początku trzeba po prostu napisać najpierw czym ta książka jest, co zawiera, jakie cele przyszyły jej autorowi. „Wiersze poetów chełmskich” zebrał i opracował jeden z nich — Zdzisław Popowski, a wydał Wydział Kultury Prez. PRN w Chełmie wraz ze Stowarzyszeniem Miłośników Ziemi Chełmskiej w dwudziestą rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN. Piękny papier, pomysłowe opracowanie graficzne Stefana Nargielly, bogate informacje bio-bibliograficzne, wreszcie autografy autorów — to wszystko nadaje książce walor dokumentu i podsumowania. Całość stanowi imponujący i piękny wysiłek, który doprowadził do powstania książki bardzo wartościowej, dającej panoramiczny obraz poetyckich dążeń pisarzy, dla których pochodzenie stanowi wspólny, łączący na zawsze mianownik. Okre-

ślający nie tylko poezję, ale — zgodnie z powiedzeniem Goethego — także jego dzieło.

Otwiera książkę duchowy patron większości chełmskich poetów — K. A. Jaworski, a zamykają poeci ludowi z Chełmskiego — Paulina Hołyszowa i Władysław Kuchta, nie reprezentowani zresztą najlepszymi i najciekawszymi utworami. Można by się także spierać i o dobór wierszy innych autorów, ale to sprawa gustu oraz kryteriów i punktów widzenia. Mówiąc o niedostatkach wyboru trzeba przecież uświadomić sobie trudną sytuację Zdzisława Popowskiego, który musiał uwzględnić rozmaite kryteria: krzyżują się one i przeplatają w całej książce. Antologię Popowskiego kształtował czas, miejsce i okazja jej wydania, eksponując obywatelski i patriotyczny nurt twórczości chełmskich poetów. Ale to dla nich jest całkiem naturalne, gdyż ich wierność rodzinnej ziemi współbrzmiała z poczuciem solidarności z losami narodu. Chełmskie — to tyle, co polskie. I nie ma tu nic z zaściankowanością i prowincjonalizmem, to po prostu uczestnictwo w historii.

Potwierdzenie tego znaleźliśmy w całej rozciągłości w pięknym wstępie „Śladami wrzuseń”, napisanym przez Wiktora Bazylewskiego, który tam kreśli równocześnie cały przebieg chełmskiego ruchu poetyckiego. Wydaje się, że główny cel Popowskiego zawiera się gdzie indziej. Chodziło mu o stworzenie książki — dokumentu, o podsumowanie i zbilansowanie wszystkich wysiłków pisarzy, całego literackiego ruchu rodzinnego miasta. Pragnął pokazać dynamikę tego środowiska, jego dorobek, jego historię.

Mimo prezentowania szerokiego kręgu poetów, ton całej książki nadaje K. A. Jaworski i cała — jeśli tak można powiedzieć — szkoła, a więc m. in. W. Iwanika, Z. Popowskiego, W. Kasperskiego i W. Mrozowskiego. Większość wierszy antologii świadczy, że uklad: nauczyciel — uczeń przenosił się z Seminarium Nauczycielskiego, gdzie K. A. Jaworski był polonistą, na placzyznę twórczości literackiej. Ale ta oznaka wspólnoty nie zasługuje dziś na całkowitą aprobatę, wierność bowiem wobec patrona ogranicza własny rozwój poetów. Wina za ten stan rzeczy leży zresztą po stronie poetów, że tak bardzo poddali się jednej inspiracji.

Twórczość K. A. Jaworskiego bliska była zawsze poetyce Skamandra i ta tradycja działała tu przede wszystkim. Stąd pewien tradycjonalizm środków wyrazu i niekiedy ich wtórność, ale też i solidność poetyckiego rzemiosła, doskonałe opanowanie rygorów formalnych.

Ale przecież obok szkoły KAJ-a była także „Kamena”, która nie ograniczała się do holdowania jakiejś wyjątkowej wartości poetyckich, służyła ukazaniu doświadczeń, poczętych pod bardzo różnymi znakami, na skrajnie awangardzie kończącej. W antologii Popowskiego to się potwierdza. Na Iwanika i Mrozowskiego na przykład znać działanie liryki Czechowicza.

Sprawa dokumentu, historii jakichś poczyną — to obchodzić tylko wąski krąg ludzi. A co tu znajdzie czytelnik, szukający przeżycia poetyckiego? Zapewnim — nie zawiedzie się. Niektóre wiersze K. A. Jaworskiego, W. Iwanika, W. Mrozowskiego, Z. Popowskiego czy Cz. Twardzika dostarczają wystarczającej satysfakcji. Dla mnie największym jednak zaskoczeniem były wiersze poetów mniej znanych, a stanowiące interesujące osiągnięcia. Odnosi się to także do tych autorów, dla których pisanie wierszy było zajęciem ubocznym. Myślę o Z. Waśniewskim. To także I. Igoń-Gąsiorowski, S. Turczyn oraz niektóre twory M. N. Listowskiego i L. J. Okonia. Wiersze Koszeli, godne zresztą uwagi, stanowią sprawę oddzielną.

Nie chodzi tu o wystawianie ocen ani o układanie hierarchii, ale o znaczenie własnego odbioru, o poruszenie własnej wrażliwości. To poruszenie odbywa się przy lekturze wstępnej części antologii zatytułowanej „Miasto naszej młodości”. Dokonuje się tu powrót do heroicznych, najbliższych sercu czasów i miejsc młodości. Ten sentyment i serdeczne wyznania wierności mitycznej krainie nie są tylko sprawą autorów, to istotna wartość i składnik przeżycia poetyckiego. Bo para-

doksem wielkim jest fakt, że bardzo duży procent poetów chełmskich mieszka z dala od swojej ojczyzny poetyckiej, tylko nieliczni, jak Twardzik, są jej wierni w najdosłowniejszym sensie. Dlatego tak często w wierszach dedykowanych Chełmowi odzywa się i odnawia mīt o Odyseuszu. I nie przypadkiem motyw Itaki pojawia się tu tak często.

„Bądź zdrowa Ziemo i Miesto,
moja Itako!
Do ciebie płynę!

To Popowski. A obok: „wśród gaju słowiczego słonecznej Itaki” (Twardzik i „tam są nasze Itaki ogrody” (Igoń-Gąsiorowski). I tak jak w Odysei, tylko powrót do Itaki oznacza wierność i zwycięstwo, tak i tu się dzieje. Dzięki temu wiersze poetów chełmskich to nie jakaś antologia tematyczna, nie jedynie przegląd dorobku poetów z Chełma się wywodzących, to głosy serdeczne o poczuciu wspólnoty. Stwierdzenie to ma głęboki walor nie poetycki jedynie, ale i ludzki.

I dlatego żał, że książka, o której piszę, jest już teraz białym krucikiem, bibliograficzną rzadkością. Wszak nakład 250 egzemplarzy, co na pewno nie obciąża wydawców, sprawia, że „Wiersze poetów chełmskich” to książka tylko dla autorów, przyjaciół i niektórych znajomych. A szkoda.

T. K.

Wiersze poetów chełmskich. Zebrał i opracował Zdzisław Popowski, Chełm 1964. Wydawca — Wydział Kultury Prez. PRN w Chełmie oraz Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej.

Odpowiedzi Redakcji

ST. Z. k/Lubina: „Już słońce zakasało rekawy i skowronek popłuli w ręce” — Proszę Pana w wierszu, a w liście do Redakcji: „Wiersze pisze dla przyjemności i coś mi wychodzi”. Niech Pan jednak nie obraża skowronka takim zadaniem, tym bardziej że w innych Pana utworach przestanych do oceny są zapowiedzi lepszych wyników.

A. LUB. Kielce: Prosimy o podanie adresu, prześlemy honorarium.

T. S. w Janowie Podlaskim. Zatrzymujemy „Ciężko rodzi się dziecko”.

E. JOK. w Chełmie: Bardzo nam przykro, ale próbki wierszy zupełnie nie nadają się do druku.

L. K. w Lublinie: Trudno nam ocenić na podstawie jednego wiersza. Myśl w nim pewna jest, ale to jeszcze nie wszystko.

J. T. w Elku: Wiersze bardzo nierówne. Proszę jeszcze poprawić i za kilka miesięcy przysłać większy wybór.

P. R. w Ciechanowie: „Nadesłanych wierszy jeszcze nie wykorzystamy, ale w porównaniu z poprzednimi zrobił Pan pewne postępy.

W. K. w Debicy: Dziękujemy. Z bogatej porcji coś wybieramy.

Redakcja przypomina, że nie zamówionych materiałów nie zwraca. Odpowiedzi udzielamy głównie w tej rubryce.

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mikulski, Jerzy Pińskorowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-09. Redakcja rekrutów nie odsyła. Warunki prenumeracji: kwartał 12, półrocznie 24, rocznie 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonują się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartał 12 numerata, półrocznie 24, rocznie 48. Zamówienia i wpłaty przyjmują PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-19624 oraz „Ruch” Lublin, Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unieka 4.

Zam. 1308 15.TV.65. 5.000. H-4

TEATR na szklanym ekranie Patrząc na „Dym”

CZCIELE tv, tego dobrego duszka domowego ogniska, zyskują coraz więcej argumentów na pochwałę przede wszystkim teatru telewizyjnego. Istotnie, w przeciwieństwie do demonstrowanych filmów, które zbyt często są nienajbardziej interesujące, spektakle na małym ekranie dają przeważnie prawdziwą satysfakcję. Do głównych zalet naszej miniatury scenki należy tamże jasne planowanie repertuarowe. Wygląda na to, że jej kierownictwo znalazło formułę na równowagę między pojęciami klasycznymi a współczesnymi, rozrywki i poważnymi, formułę wyznającą się niejedną dyrekcją normalnego teatru, nekanej planu finansowym. Życie teatralne tworzone przez tv jest bogate i urozmaicone: widowiska „pełnospektaklowe”, fragmenty sztuk jako ilustracja twórczości dramaturgów bądź produkcje festiwalowe (ostatnio znakomita składanka z festiwalu wrocławskiego), albo też recitale wybitnych aktorów (choćby wirtuozowski pokaz mimiki i gestu w „Fircyku” interpretowanym przez Czesława Wołkiewicza).

Na dobro teatru telewizyjnego trzeba też zwrócić uwagę na adaptacje, procedury, które są ryzykownymi. Wymozone trygony miejsca i czasu, które sila rzeczy narzucają się tv, sprawiają chyba, że niebawem adaptatorzy telewizyjni staną się mistrzami treściwej kondensacji. Interesujący przykład przystosowania powieści do potrzeb małego ekranu przyniósł niedawno spektakl „Dym” Iwana Turgeniewa. Warto poświęcić tej pozycji specjalne miejsce. Na duże brzo zasługuje już sam pomysł szerzego spopularyzowania dzieła sławnego prozaka rosyjskiego XIX wieku, autora wspaniałych „Zapisów wsielwego” powieści „Szachecckie gniazdo”, „Rudnia”, „Ojcowie i dzieci”. „W przededniu”, „Nowina”, sztuk „Mieście na wsi”, „Rezydent” i innych celnich utworów, które charakteryzuje postępowość myśli i perfekcja formy. „Dym” powstał w latach 1865-67 i zawierał ostrą satyrę na grupę generałów obywatelskich, rozwleczonych znieśmienionych pańszczyzn. Adaptacja telewizyjna powieści dokonana przez Zbigniewa Bienkowskiego zaleca się wielką wnikliwością i kulturą. Znany poeta i krytyk

pieczolowicie wybrał, zgrabnie połączył fragmenty, które uwytłaczają postawę zarówno perorujących u wód arystokratycznych wsteczników, jak i ocierających się o nich jalowych pięknościach, emigrantów-liberałów. Może to dążenie do pełni obrazu stało się składnią przyczyną pewnego rozdrobnienia wizji, nadużyciu obsesyjnych nawrotów, niemniej trzeba uznać ostateczny rezultat pracy adaptacyjnej za bardzo udany, zwłaszcza gdy się zważy wyjątkową trudność zadania. Polega bowiem nie tylko na uwytłaczeniu problemu społeczno-politycznego, ale i na ukazaniu psychiki fascynującej bohaterki powieści, Ireny. Spektakl w reżyserii B. Trukana i A. Minkiewicza był wyborny, zalecający się autentycznością wewnętrznego porotu towarzyskiego, skonstruowanego bezbłędnie z nicością duchową przedstawiciel „wielkiego świata”. Widowniwo otrzymało dobrych wykonawców tej koncepcji reżyserskiej, grał N. Andrycz, B. Ludwiżanka, T. Smigielówna, P. Pawłowski, W. Krasnowiecki, S. Zaczek — że wymienię tylko nazwiska podane w programie drukowanym. Irena — to jeszcze jedna wielka rola Niny Andrycz. Odtwożyła tę najbardziej w dziele Turgeniewa skomplikowaną postać kobiecą z całym bogactwem środków artystycznych. Była kapryśna i czuła, uległa i despotyczna, wyniosła i pełna prostoty. — prawdziwa dama drugiej połowy tamtego stulecia, przy tym nosicielka oświeconej „śmie sław”. Wydaje mi się natomiast, iż postać stworzona przez P. Pawłowskiego niezupełnie odpowiadała pojęciu o Litwinów, jakie się wynosi z powieści. Widzowi znającemu „Dym” z lektury niego przeskądzała nieudolna powaga aktora, tracąca jakby pedanteria i ośchłość, która pozbawia postać wdzięku. Zauję, że brak miejsca nie pozwala mi zatrzymać się na osobach psychy generalów, wielbiskich kumoszek światowych, grandioznych pseudopostępów. Dodam tylko, że mimo zasadniczej tonacji satyrycznej nie brak było widowisku partii poetyckich (sceny w ogrodzie, przewleająca się przez akcję wiza sali balowej). Zawsze dążyliśmy do w znacznym mierze scenografii Ximeny Zaniewskiej.

M. B.-R.

KIELECKIE OSTY i chęsty

Nagrodzeni i... obrażeni

Kielecki Teatr im. St. Zeromskiego sprowadził na „występy gościnne” Gustawa Holoubka, który, jak wiadomo, gra w Teatrze Narodowym rolę Przełckiego w sztuce „Uciekli mi przepióreczka...” pióra wielkiego pirona kieleckiego sceny. Dwa dni występów tego aktora w Kielcach były wydarzeniem w życiu miasta. Kasa była obłożona, a sala przepelniona po brzegi, jak dawno się nie zdarzyło. Mimo tego sukcesu bilans całego będzie chyba ujemny, bo setki widzów obraziły się na dyrekcję teatru z racji systemu dystrybucji biletów. Kierownictwo sceny kieleckiej postanowiło bowiem kartami wstępu „na Holoubka” obdzielić zwłaszcza zakłady pracy, które wiernie i stale uczeszczać na wszystkie inne spektakle. Biletów dla indywidualnych teatromanów praktycznie w kasie nie było, bo i dla „zrzęszonej” starczyło tylko w 50 proc! Obrażili się więc wszyscy, którzy nagrody „z Holoubkiem” nie dostali! Czy tytuł sztuki, w stosunku do widzów nie brzmi czasem symbolicznie?

Klubowy savoir vivre

Jak wprowadzić zasady „savoir vivre” lansowane przez „Przekrój”, w racującym życiu klubowym? Oto pomysł, który jest, na razie, własnością Klubu Handlowców „Mercury” w Kielcach. Metoda prosta, a skuteczna, bez pudła. Otóż w żelaznych, oszklonych drzwiach tego klubu, umieszczono klamkę na wysokości kilkunastu centymetrów od podłogi. Każdy wchodzący, chcąc czy nie chcąc, musi się głęboko pochylać przy otwieraniu drzwi. Wygląda to jak wytworny i dworny ukłon, złożony na wstępie wszystkim obecnym w klubie. To samo czyni się na odchodnym w kierunku szatniarki. Niewiasty, oczywiście, zamiast kłaniać się, mogą wdzięcznie dygać. Oto jak można wymuszać bon ton! Naśladownictwo zalecane.

R. Pod.

W SPOMNIENIA kulinarne są tym, czym fotografuje w albumie. Przeglądanie ich pokazuje dawne obyczaje, zwyczaj i zainteresowania. Z p. Józefem F., wybitnym fachowcem i znawcą najprzeróżniejszych odieni gastronomicznych, ucinaliśmy sobie, od czasu do czasu pogawędkę na tematy, które na pewno bliskie były i są niedłemu smakoszowi. Często siedząc przy stole przy szklance herbaty snuiliśmy wątki opowiadań z wyścigach kulinarnych różnych środowisk nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami. W ten sposób przyrządzaliśmy imaginacyjny obiad od pikantnych przystawek aż do deserów.

Pan Józef ma bogate doświadczenie i ja, zdaje się, zdolności i fantazję. No i również pewne doświadczenie, aczkolwiek te sjęsty były przeglądem a nie tylko programowym, ale i analiza sposobów, sposobie nazywanych przepisami. Iż spośród nich zagnęło, albo wyszło z użycia, lub jest zgola niedostępnych ze względu na brak odpowiednich surowców i strukturę przyrządzania własnych posiłków! Współczesność zagubiła wiele odieni. Mogły się one krzewić tylko w cichej przystani małego zakładu, czy kuchni domowej, w których był ktoś, kto ze spraw kulinarnych uczynił swe hobby. Ale o tym innym razem.

Podczas jednej z takich pogawędek z p. Józefem sięgnęliśmy do wspomnień o niezwykłych postaciach ludzi, którzy potrafili zjeść dobrze i dużo, a ilość wzmagała u nich poczucie jakości. Kilka takich postaci zawiązało się z historią gastronomiczną Lublina.

P. Józef był w 1917 r.

kierownikiem bufetu w Klubie Polskim w Lublinie. Klub mieścił się w domu nr 36 przy Krakowskim Przedmieściu, był znany ze swej dobrej, a nawet wykwintnej kuchni. Jednym ze stałych bywalców był h. ziemianin, J.



Drojecki. Miał kiedyś majateczek, który sprzedał i przeczucił się na jakieś interesy handlowe w mieście. Lubił dobrze i dużo zjeść, ale specjalnością jego były ryby. Cenil je wyżej od mięsa. Miał umowę z bufetem, że jeśli odwiedni gatunek ryb dopuszczony był do kuchni, natychmiast wysyłano poślanca do Drojeckiego, zjawiał się szybko i niezawodnie.

— Właśnie — opowiada p. Józef — dnia tego dostarczono nam kilka okazyjnych dużych i tłustych karp. Drojecki już był na miejscu. Wybrał odpowiedni okaz o wadze znacznie ponad dwa kilogramy i kazał go zapiec w śmietanie. Był odcyszczoną z najmniej jadalnych ele-

mentów zapiekano w całości wraz ze łbem, a całość tuszczą i wszystkie jadalnymi wnętrznościami. W dużej brytfannie, w odpowiedniej ilości masła i śmietany zacięganęj żółtkami i doprawianej imbrem i zielenką z dodatkami odpowiedniej ilości odpowiednio przygotowanych kartofelków ryba stała się potrawą, której łączna waga przekroczyła prawie do czterech kilogramów. Podano ją wraz z butelką dobrego czerwonego francuskiego wina.

Drojecki oczekując na potrawę zjadł kilka przystawek i kanapek dla rozruchu żołądka. Gdy podano karpia, siadł, wziął srebrne widełce, jakich używano do ryb i uderzyłszy ich wierzchemi w zapieczoną treść, niby Janek Pana Tadeusza w cymbaly, zaczął się głośno smakowitym zapiachem i zaczął... Jadał po mistrzowsku, uśuwając z wielką zręcznością ości i najbardziej niedajalne elementy. Ale widział nie było ich dużo, bo nie upłynęła nawet godzina, kiedy z karpia, śmietany i wszelkich dodatków pozostały tylko mikroskopijne reszki. Również wypróżnił do dna dużą butelkę wina.

Drojecki chwile siedział zamysłony, potem wstał, zapłacił rachunek i uśmiechnawszy się powiedział: „No, a teraz można pójść do domu na obiadek”.

O tym, jak Drojecki zjadł kiedyś w klubie ogromnego szczupaka według własnego przepisu przyrządzonego przez kucharkę, obiecał p. Józef opowiedzieć mi następnym razem. Wychyn ten stał się nawet przyczyną kilku zakładowych wródoł uwazszy klubowych rybożercy.

W. G.

RYSZARD PODLEWSKI

FRASZKI ŚWIĘTOKRZYSKIE

TEATROMAN KIELECKI

W Teatrze zasiada przy kawie, a sztukę poznaje — w Warszawie!

REGION ŚWIĘTOKRZYSKI

Święty Krzyż, Lysica, Święta Katarzyna
Lysa Góra. W sumie: świętość i lysina!

W KIELECKIEJ KAWIARNI

Różnie reaguje męskie czujne oko: jeden lubi „małą czarną”, a drugi... wysoką!

ZENON PIECHOCIŃSKI

NIE TYLKO O ZWIERZĘTACH BEZ POINTY

Barana wilk zaprosił
na kolację z rana
Nie ma pointy
i nie ma barana.

O BŁYSKOTLIWOŚCI

W imieniu pawia
Ogon przemawia.

ZYGMUNT MIKULSKI

nać. Nie pomija się teraz najmniejszej sposobności do tego, by szeroko rozpropagować kontakt z książką, obrazem, teatrem. Nawet czarna kawa uznaje się za sojusznika w tym względzie, co widać na przykładzie masowo zakładanych klubów „Ruchu”. Z lekkim sercem rezygnuje się zaś z pomocy, jaką może oddać zajęcie przeciwieństwem, do pełnego rozbudzenia potrzeb intelektualnych chyba bliżej od szachownicy, niż od stołu pingpongowego.

Na koniec warto by może postawić kwestię „organizacyjnej przynależności” tej gry. Wprawdzie elementy sportu Bogdan Tomaszewski dostrzegł — nie bez racji — nawet w konkursie szopenowskim, ale chyba słusznie, że muzyka nie leży w gestii GKPK. Też nie bardzo pasują tam szachy. Z kulturą wyłącznie fizyczną przeciwieństwem nie mają, a jako przyczepka do lekkiej atletyki, piłki nożnej, narciarstwa i szermierki wychodzą trochę na Kopiczka. Pisał kiedyś Putrament, jak to szachy nie mając wyraźnego „zaszeregowania” blakają się po szarych kołach wykazów, okólników i — co najgorsze — prelimitaryj budżetowych. Może i w tym przyczyna ich niedostatku, który na gruncie lubelskim zdążył już przerosnąć w prawdziwą i nie skrywaną needę?

Bezdomne hobby

systematycznie nie zaprzeczają. Jeżeli inne dziedziny sportu, jak np. piłka nożna, cieszą się tak znacznym mecenatem ze strony władz, niechby szachy miały szczególne dostąpić tych łask choć w dwudziestą część. Nie potrzebują inwestowania a la longue. Nie potrzebują basenów, bieżni, trybun. Potrzebują jednego, dwu pokoi, z których otrzymaniem nastanie „święty spokój” dla wielu molestowanych instancji.

Przez to, że tak długo trwa, sprawa wykracza poza wymiar jednego nie zalatowanego „dajcie”. Coś najwidoczniej się poprzestawiało w hierarchii społecznie wartościowych zajęć, skoro tu nawet „na odczepnego” nic nie może kap-

Prozę Państwa

I stnieje w Lublinie instytucja tragicznie bezdomna: Lubelski Oddział Polskiego Związku Szachowego. Od lat paru alarmuje się instancje i trąbi w gazetach, a Jerycho niewzruszone stoi. Jerycho, czy po prostu licho. Bo niby nikt i nic nie jest bastionem oporu w stosunku do pragnień szachistów, a mimo to sprawa nie rusza z miejsca. Widocznie najtrudniej coś zrobić wtedy, kiedy nie ma trudności.

No tak, lokalowe. Ale przecież nie jest niemożliwością w ciągu paru lat uściwić i to pozytywne hobby w rosnącą kubaturę miasta. Raczej należy mówić o znaczeniu, jakie się z tym zajęciem łączy. Daleko mniejszym, niż np. w wypadku wędkarstwa i filatelistyki, które to dziedziny jakieś przytulisko znajdują. A czy szachy rozpropagowane do rozmiarów masowej rozrywki nie byłoby skutecznym antidotum np. na alkoholizm i te wszystkie niedobre skłonności, jakie się młodzieży wytyka? Chyba nie utopia. Nie utopia szczególnie na terenie lubelskim, gdzie ta gra znajduje liczne grono zwolenników, co się wkrótce z nastaniem ciepłych dni okaże całkiem widocznie: szachowicami na ławkach na Placu Litewskim.



W KWIECIEŃNI upłynęło 123 lat od urodzin Emila Zola. Choć nie w wyrywkach możemy się zgodzić z twórcą naturalizmu, choć do wielu jego powieści (także no diis wrócić, pozostawiając na dłużej zawsze autorem kilku wybitnych utworów, przede wszystkim „Germinal” i „Kłosa” (nawet jego antagonistą był Klewicz w swej diatribie musiał przyznać wrodzony wielki talent), a przede wszystkim „szlachetnym”, uczuciowym Dreyfussa Jarliwie i konsekwentnie wstępował w obronie niewinnego człowieka.

INNE ROCZNICE. W tym samym miesiącu minęło 143 lat od urodzin Hansa Christiana Andersena, a z tak zwany rocznic „okrajczych” należy wymienić 100-lecie tragicznej śmierci Abrahama Lincoln i 105-lecie zgonu Michała Lomowskiego.

W OBRONIE „MNIEJŻOŚCI”. Podobny największym bestsellerem w Szwecji, seilerem o posmaku skandalu, jest obecnie książka dr Larsa Ullerstama „Mniejszości erotyczne”, w której młody szwedzki uczyony wystąpił w obronie „mniejszości seksualnych”, żądając bardziej humanitarnego ustosunkowania się do ludzi prześladowanych za ich niernormalne zachowania. Nic nowego pod słońcem: u nas przed jakimś trzydziestu laty Boy-Zelenski poruszył w „Wiadomościach Literackich” tę drażliwą sprawę, zajmując podobnie stanowisko.

ROLF HOCHHUTH, autor „Namiestnika”, pracuje obecnie nad nową sztuką, której tematem ma być kwestia moralnej odpowiedzialności za olbrzymi nalot bombowy na Dreźnie, w czasie którego zginęło ćwierć miliona ludzi.

ERENBURG O POLSKICH POETACH. W dalszym ciągu swych wspomnień zamieszczonych w nrze 2 „Nowego Miasta Erenburg poświęca cały rozdział swej drugiej wycieczce w Polsce w październiku 1947 roku. O swej przyjaźni z Tuwimem pisał już przedtem obszernie, obecnie tak charakterystycznie innych skamandrytów, którym często spotykał się w Warszawie: „Słonimski niektórym wydaje się Anglikiem, nadmiernym kłapierzem, a nawet złośliwym sztyrca, ale za jego ironia kryje się dobroć i nierozwaga polskiej poezji i polskiego losu. Różne nastroje mają różne ironie — Cervantes jest podobny do Swifta ani do Mallera, ironia Słonimskiego to nie rozwór, a esencja, może zbyt mocna dla innego kraju, albo dla innej epoki, a jeśli nawet jest rozcieńczona to nie woda, lecz kawa. Iwaszkiewicz na pierwszy rzut oka wydaje się najbardziej miłym, jest miękki, nawet do broduzniejszy, ale cichociemnik wyjątkowo szorstki. Przypomina marzyciela szlachcica, ale w jego książkach wiele współczesnego zamętu. Przypominam sobie teraz jego nowelę napisaną w latach trzydziestych — pisarz polski jedzie do Paryżu na jakiś kongres (widocznie i po szarych i kongresy istnieć zawsze — tak jak deszcz). Nowela przypomina „Wiosnę wody” Turgieniewa, ale ma już klimat asznych czasów — i miłośność nie taka sama i nie taka sama rozpacz”.

SŁUSZNIIE ZYWOCIK na str. 12 „Zwrot Literackiego” (nr 17) zwraca uwagę, że nazwisko Baczkowski odmiennie. Ale widocznie to wyjątek, bo na stronie 8 tegoż numeru czytamy: „ostatni zbiór wierszy Jerzego S. Sito” (bez imienia zresztą poprawnie: „do poezji Sity” i „poetyce Sity”).

NA NIEDZIELE. W szczyńskiej wstążce „Kultury” czytamy wiersz opisujący kobietę „od stóp do głów” („ust”). Nie mamy nic przeciwko „bazylicy kolan” ani „ud jedwabiu miękkiej poduszce pod głowę”, niepokoi nas trochę pominięcie opisu „zręchu samego w sobie” (skąd on się, ale stanożcowi protestujemy przeciwko „tytu funkcjom”, „otarta niepojętego” — brucha. Aż tytuł! Tak! jest „Erotyk na niedziele”. Można sobie wyobrazić, jak wyglądałaby „Erotyk na dzień powszedni”!

DOBRE O NAS MOWILI. Ankieta „Przekroju” na temat kapelusza (stusznik przewidziana na kilka numerów) jest lekturną wyjątkowo emocjonującą. Czekać na następną, np. „W północach, czy i gotymi nogami?”.

-kaj-

JOZEF MAŁEK

FRASZKI

NAWET...

Nawet najprawdziwsza cnota ulega wdziękowi złota.

O PEWNYM...

Od kogo bierze
Temu pacierze.

Bychawo